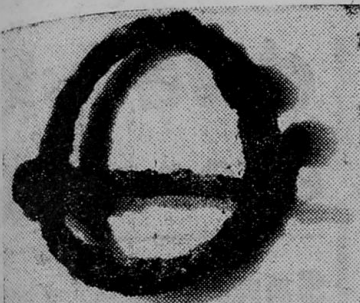




o czym
szepczą
stare
gnaty

6



jak Kuba
Bogu

7



socjalizm
nie spadł
nam
z nieba

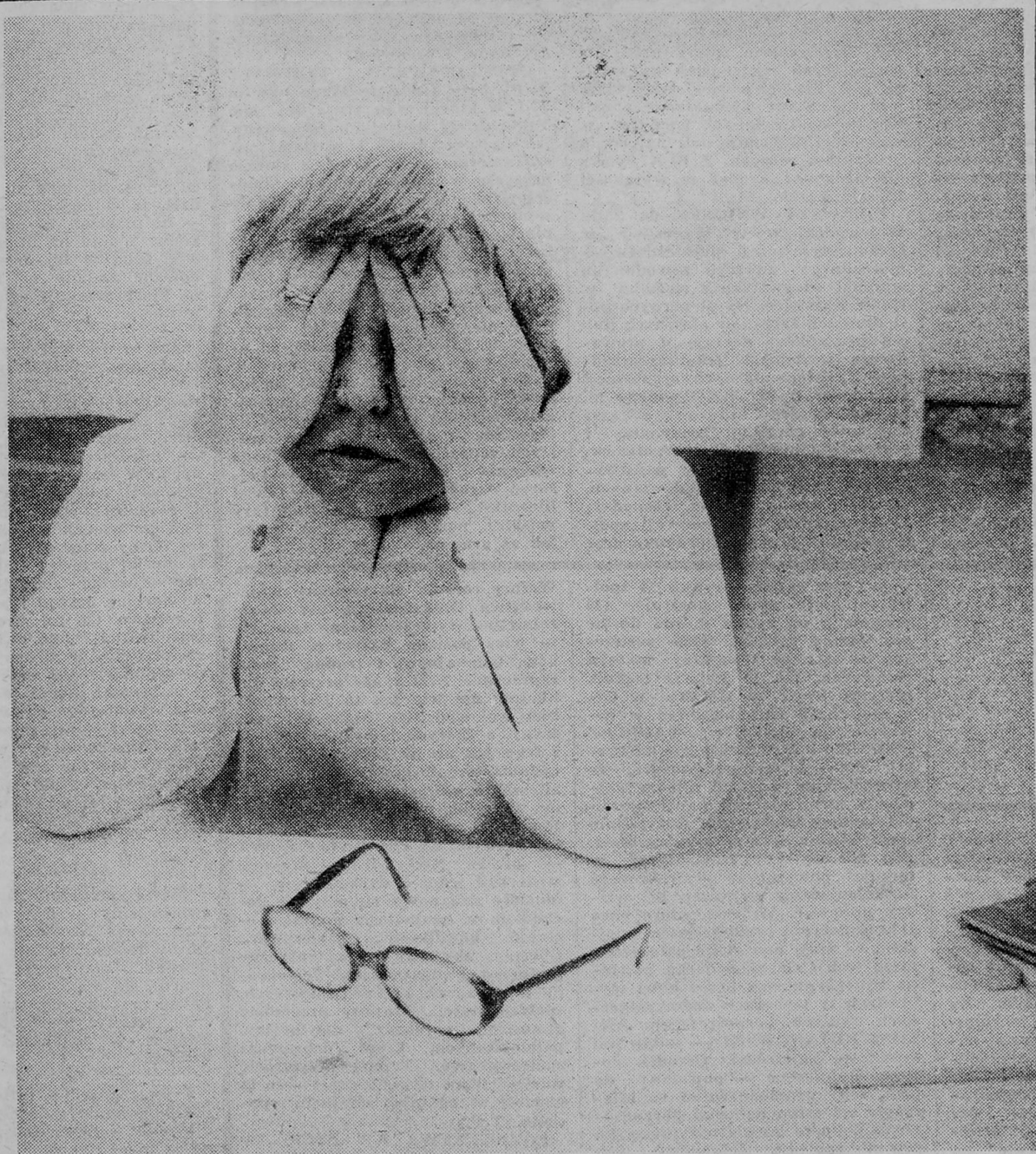
11

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

14

KONTAKTY
28 IX 80
Cena 4 zł



FOT. GABOR LÖRINCZY

racje stanu

JANUSZ ATLAS
ANDRZEJ ZAWISZA

Najlepsze są małe miasteczka, położone z dala od głównych traktów. Nie przejeżdżają tamtędy kolorowe TIR-y ani ekspresy, łączące jeden kraniec Europy z drugim. W małych miasteczkach jest cicho i spokojnie, dlatego godnie w nich żyją pracownicy i porządni ludzie. Nie wiadomo, czy rozgrywają się tam tragedie i dramaty, bo prawie nigdy nie wychodzą one poza małe, czyste domki, w których oknach kwitną pelargonie, a pod oknami, w ogródkach, rosną malwy, konwalle i szalwia. W takim miasteczku można spędzić całe życie nie robiąc świństw nikomu, nie motając się w aferowe przygody, nie kradnąc i nawet nie łamiąc szóstego przykazania. W aptece w małym miasteczku częściej sprzedaje się suszona malina niż relanium, bo- wiem porządni ludzie zasypiają szybko i śnią kolorowe sny. Niektórzy wstają wcześniej, na piątą spieszą się do zatłoczonego autobusu, jadą do dużego miasta; ono daje im pracę. Po południu zdezelowany pociąg przywozi ich z powrotem, wrzuca do małego szczęścia i jeszcze mniejszych kłopotów.

specjalizacja na dyszlu

STANISŁAW ZIELIŃSKI

— Niech pan zostanie specjalistą
— namawia gminny instruktor rolny.

— A co ja z tego będę miał — pyta rolnik.

— Przyznamy natychmiast kredyty na oborę, stodołę, rasowy inwentarz. A jak pan się sprawdzi, damy również materiał na dom.

— No, jeśli aż tyle zyskam, to niech będzie specjalizacja.

Tak gminne służby wabiły rolników. Dzięki temu (dość prostemu) zabiegowi rosła dynamika... gospodarstw specjalistycznych i mnożyły się powody do chwały na wojewódzkich naradach.

Kurs na specjalizację był i jest w wielkiej cenie, ale entuzjazm już mniejszy. Właśnie minęło pięć lat, od czasu, gdy Łomżyńskie zaczęło formować i obdarzać przywilejami gospodarstwa, które wybrały jeden, dwa kierunki produkcji, rezygnując, jak to się zwykło mówić, z utrzymywania ogrodu zoologicznego. Liczba tak uprzywilejowanych osiągnie wkrótce pięć tysięcy, czyli 10,3 proc. stanu wszystkich gospodarstw. Przechwyciły one co prawda jedną piątą kredytów (21,3 proc.), ale dają 26,2 proc. rocznej rolniczej produkcji towarowej województwa. Nie brak jednak sceptyków, którzy pytają: ciekawe, jakie efekty osiągnęłyby łomżyńskie rolnictwo, gdyby zamiast formowania tych gospodarstw (i tak już dobrze prosperujących przed oficjalnym rozpoczęciem specjalizacji) trochę cieplej, a zarazem i hojniej, potraktowano mniejsze gospodarstwa, które — koniec końców — przede wszystkim decydują o łomżyńskiej produkcji rolniczej?

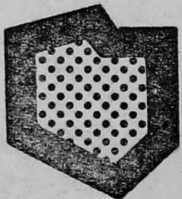
Województwa co roku przysyłało gminom coraz ambitniejsze plany. Instruktorzy rolni gorączkowo szukali kandydatów na specjalistów, skrzętnie omijając średnie, słabiej zorganizowane gospodarstwa. Ułatwili sobie zadanie, zyskując równocześnie aplauz u swoich zwierzchników.

Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Łomży, Włodzimierz Michałuk, komentuje ten fakt w sposób następujący: — Jest to trafne spostrzeżenie. Należy jednak wziąć pod uwagę kosztowność specjalizacji: z tego względu kierowaliśmy ją tam, gdzie byliśmy pewni, że się sprawdzi, a tym samym będzie stanowiła wzorzec dla innych. Kiedy to się stało, możemy coraz śміalej podejmować próby wprowadzania jej również do mniejszych gospodarstw.

Do wielu gospodarstw specjalizacja zaczęła wkraczać sama. W tym

CIĄG DALESZY NA STR. 8-9

CIĄG DALESZY NA STR. 4-5



TELEWIZJA POLSKA nadała wypowiedź wicepremiera Mieczysława Jagielskiego. Stwierdził on m.in.: Gdy słyszę, że w wielu miejscach gołym okiem widoczne są objawy spadku dyscypliny, lekceważenia poleceń mistrzów, wiecowania w godzinach pracy, czuję się uprawniony zapytać: komu i czemu to służy? Wykonaniu zawartych umów, odnowie i poprawie naszego życia, oczyszczeniu go z deformacji — na pewno nie. [...] To prawda: jest wiele słów, które straciły wiarygodność, treści przebrzmiały i form, do których nie może być powrotu. Byłoby jednak czymś najgorszym, gdyby miało stracić swój walor pojęcie rzetelnej pracy.

Z WYSTĄPIENIA Stefana Olszowskiego na wojewódzkiej naradzie aktywu partyjnego w Bydgoszczy: Na dziś, w tym momencie, najpilniejszym zadaniem jest wytworzenie możliwie największej i na najwyższym możliwym poziomie — ilości żywności i towarów przemysłowych powszechnie poszukiwanych przez ludzi. Inaczej pieniądze, jakie pojawiają się i pojawiają się w portfelach, będą jedynie zadrukowanym papierem, a nie realną wartością. Może także zabraknąć podstawowych artykułów żywnościowych. [...] W połowie września wydajność pracy w przemyśle osiąga pułap zaledwie 80—85 proc., zaś w sumie, od początku roku do dziś, nie wykonano zadań produkcyjnych na kwotę grubo ponad 20 miliardów złotych. Zjawisko to może się pogłębić. [...] Brak nam w kraju 2800 tys. ton węgla, 110 tys. ton surówki, 135 tys. ton stali, blisko 14 tys. sztuk pralek automatycznych [...] Wiesz nie otrzymała 27 tys. ton nawozów azotowych, 126 tys. ton nawozów wapniowych, około 1,5 tys. ciągników.

NA PLENUM Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, z udziałem Stanisława Kani, na własną prośbę zwolniono z funkcji I sekretarza KW PZPR w Katowicach



Z WOJEWÓDZKIEJ NARADY aktywu ZSL, w której uczestniczył prezes NK ZSL — Stanisław Gucwa: **JOZEF RANDZIO** — prezes Miejsko-Gminnego Komitetu ZSL w Grajewie: — Rolnicy solidaryzują się z klasą robotniczą. Ale muszą pracować, chleba nie może zabraknąć. Własne problemy przedstawiają tylko na zebraniach. Na przykład było kiedyś tak, że rolników karano kiedy nie odbierali nawozów. Gospodarstwu specjalistycznym obiecywano wiele... Nie sprawiedliwy jest system przekazywania ziemi — spółdzielniom, czy PGR-om dopłaca się żeby ją wzięły, a rolnik, który potrzebuje na gwałt tych paru hektarów — nie może się o nie doprosić; **FRANCISZEK WRÓBEL** — członek WK ZSL: — Niepokoi mnie, czy ludzie dotychczas sprawujący władzę potrafią przystosować się do nowych warunków społeczno-politycznego działania. Przyzwyczailiśmy się do łatwego zarobku — do produkcji kwiatów na imieniny, a nie żywności; **CZESŁAW NICEWICZ** — prezes Miejskiego Komitetu ZSL w Łomży: — Oświata na wsi poczyniła znaczne postępy. Ale nadal brakuje nauczycieli z wyższym wykształceniem, pomocy naukowych. Tylko 7—8 proc. dzieci wiejskich ma zapewnione miejsca w przedszkolach; **STANISŁAW MURAWSKI** — wiceprezes GK ZSL w Bogutach Piskich: — Ceny zboża są nieadekwatne do włożonej w jego produkcję pracy. Widać to zresztą przy porównywaniu cen na oficjal-

nym i tzw. czarnym rynku. W spółdzielni metr zboża kosztuje 430 złotych, a na rynku można dostać 800. Mamy również wiele zastrzeżeń do systemu sprzedaży maszyn rolniczych. Jak to jest, że ciągnik możemy kupić za złotówki w GS, a plug każą nam kupować w pe-weksie za dolary?; **TADEUSZ ILCZUK** — wieś Krzyż gmina Perlejewo: — Jestem przekonany, że porozumienia zawarte między rządem a strajkującymi na Wybrzeżu położy kres istniejącym w systemie sprawowania władzy wypaczeniom. Aby tak się stało, również my w terenie powinniśmy prawidłowego funkcjonowania urzędów tej władzy pilnować. Wnioski, które chcę zgłosić dotyczą samorządności wiejskiej — musi ona objąć całokształt życia wsi. Cała gospodarka powinna być zarządzana przez ludzi wybranych w wyborach demokratycznych, tajnych, bezpośrednich; **ANTONI BUJANOWSKI** — sołtys wsi Solki: — Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego — powołany do tego, żeby pomagać rolnikom interesuje się tylko dobrymi gospodarstwami. Bo to im ułatwia pracę. Po prostu zapisują dokonania tych gospodarzy jako swoje. Lepiej by było, żeby pokazali co mogą poprawić w słabych wsiach i gospodarstwach, a nie w kółko jeździli do tych dobrych; **RYSZARD GRODZKI** — Niziołki, gmina Kulesze Kościelne: — Agronom ma być w polu, a nie w papierach. A tu się go za sprawozdania rozlicza. Zastanawiamy się, jaki wpływ na plony ma gminna służba rolna? Dopłaty do pasz w naszych łomżyńskich warunkach nie sprawdzają się; **BOLESŁAW DOŁĘGOWSKI** — Koło ZSL w Dąbrówce Kościelnej gm. Szepietowo: — Często mówiliśmy o niesprawiedliwościach na różnych zebraniach. Ale nasze głosy gdzieś się gubiły. Dobrze, że zaczęliśmy o tym rozmawiać, że w tych rozmowach mówimy o tym co boli nas wszystkich; **JAN BĄKOWSKI** — Drogoszewo gm. Zambrow: — Chciałbym mówić o fikcji.

Zdzisława Grudnia. Na stanowisko to plenum powołało członka Biura Politycznego, sekretarza KC — Andrzeja Zabińskiego.

NOWYM I sekretarzem KW PZPR w Poznaniu, na miejsce zwolnionego Jerzego Zasady, wybrany został Jerzy Kusiak (dotychczasowy ambasador PRL w Rumunii).

ODBYŁO SIĘ pierwsze posiedzenie partyjno-rządowej Komisji do spraw Reformy Gospodarczej, której zadaniem jest opracowanie generalnych założeń zmian w funkcjonowaniu gospodarki oraz nadzorowanie prac mających na celu podwyższenie poziomu planowania i zarządzania gospodarką narodową.

RADA MINISTRÓW zatwierdziła program przedsięwzięć oszczędnościowych w gospodarce i budżecie na 1980 i 1981 rok. Przewiduje on m.in. zmniejszenie wydatków na reprezentację, dekorację miast i osiedli, urządzanie akademii, festynów i festiwali, działalność placówek zagranicznych, radia i telewizji. Postanowiono dodatkowo ograniczyć administrację i kierownictwo w przedsiębiorstwach uspołecznionych.

ŁĄCZNA WARTOŚĆ pomocy, którą Polsce udzieli ZSRR wyniesie 690 milionów dolarów. Złożą się na nią: dodatkowe dostawy towarów — 150 mln dol., niskoprocentowany kredyt dziesięcioletni — 260 mln dol., przesunięcie spłaty kredytów finansowych udzielonych na zakupy w krajach zachodnich — 280 mln dol. Stany Zjednoczone udzieliły Polsce trzyletnich kredytów w wysokości 670 mln dol. na zakup produktów rolnych. Z RFN Polska ma otrzymać kredyt w wysokości 1,2 mld marek.

PIERWSZY WNIOSEK do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie w sprawie rejestracji niezależnego samorządowego związku zawodowego wpłynął od związku z siedzibą w Hucie Katowice. Na plenarnych posiedzeniach zarządów głównych (lub ich prezydów) decyzję o prowadzeniu działalności jako samorządnych i autonomicznych organizacji (niezależnych od CRZZ) podjęły m.in. następujące branżowe związki zawodowe: górników, marynarzy i portowców, hutników, energetyków, chemików, pracowników państwowych i społecznych, budowlanych, handlu i spółdzielczości, gospodarki komunalnej i terenowej, spółdzielczości pracy, łączności oraz

pracowników książki, prasy, radia i telewizji.

NOWYMI KIEROWNIKAMI wydziałów Komitetu Centralnego zostali: Józef Klasa (prasa, radio i telewizja), Walery Namietkiewicz (praca ideowo-wychowawcza), Kazimierz Rokoszewski (kadry). Na redaktora naczelnego Trybuny Ludu powołany został Wiesław Bek (dotychczasowy kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC).

POLSKIE RADIO transmitowało, zgodnie z porozumieniem rządowym z MK w Gdańsku, Mszę św.

Z WYPOWIEDZI Prokuratora Generalnego PRL: Ubiegłoroczne badania Prokuratury Generalnej ujawniły, że wskutek zbędnych, przedwczesnych zakupów — w 29 przedsiębiorstwach pozostawały niezagospodarowane maszyny i urządzenia z importu o wartości ok. 4 mld złotych. [...] W szeregu przypadków niekorzystne dla nas kontrakty łączyły się z pobieraniem znacznych korzyści majątkowych przez niektóre osoby na eksponowanych stanowiskach w aparacie handlu zagranicznego. Poczynania takie nie pozostają bezkarne. [...] Prowadzonych jest obecnie łącznie około 100 poważnych spraw o przestępstwa gospodarcze. [...] Od 3 września prowadzone jest śledztwo w sprawie nadużyć, niegospodarności i marnotrawstwa w Komitecie d/s Radia i Telewizji.

OPUBLIKOWANO UCHWAŁĘ POP przy Oddziale Warszawskim ZLP w której m.in. stwierdza się: Takie działy budżetu państwowego, jak kultura, nauka i oświata muszą opierać się na zasadzie stałego procentu w sumie wydatków budżetowych. Żadamy więc uchwały sejmowej gwarantującej podniesienie wydatków na kulturę do wysokości co najmniej 2 proc. budżetu państwa, co stanowi zaledwie część przychodów budżetu z tytułu sprzedaży artykułów użytku kulturalnego i niematerialnych dóbr kulturalnych. [...] Mamy nadzieję, że uregulowanie problemów cenzury w duchu przywołanych wyżej postulatów otworzy drogę do uformowania stosunków w naszym świecie literackim i przezwyciężenia narosłych zażachów, do normalnego istnienia i funkcjonowania w kulturze narodowej wszystkich dziedzin literackich ważnych dla literatury polskiej, powstałych tak w kraju, jak za granicą.

Wzięmy rocznik statystyczny województwa łomżyńskiego. W dziale rolnictwo wyszczególniono tam ile to wieś posiada przyczep, ciągników, kombajnów. I trudno temu zaprzeczyć. Nikt z nas przecież dokładnie nie wie jak to jest w całym województwie. Może te maszyny, o których mowa, są. Ale co z tego jak np. w SKR ze działającym na terenie gminy, w której ja mieszkam, stoją i żadnej z nich nie ma korzyści. Ciągłe są zepsute. Skoro nie pracują — to tak, jakby ich nie było; **STANISŁAW GUCWA** — prezes NK ZSL: — Słusznie stwierdził jeden z dyskutantów — musimy zastanowić się, aby nie dochodziło w przyszłości do tak ostrych konfliktów społecznych... Chcemy, aby powstał autentyczny samorząd, broniący zasad demokracji — w radach, kółkach rolniczych, spółdzielczości... Musimy przełamać atmosferę „aprobaty” dla postaw patologicznych, które deprawują społeczność. Trzeba przywrócić wartość temu wszystkiemu — co tę wartość w ogólnym odczuciu posiada. (T. P.)

EGZEKUTYWA KW PZPR w Łomży rozpatrzyła informację o stanie przygotowań do sezonu jesienno-zimowego. Oceniono, że wojewódzki zakład energetyki ciepłej zgromadził jak dotąd zbyt małą ilość opału. Opóźnia się budowa ciepłowni w Zambrowie i Grajewie. Prezes WSOP przedstawił przygotowania spółdzielni do zgromadzenia zimowych zapasów — ziemniaków, owoców i warzyw. Termin gotowości sprzętu do odśnieżania wyznaczono na koniec listopada.

ODBYŁO SIĘ POSIEDZENIE komisji KW PZPR: ideologicznej, wewnątrzpartyjnej wspólnie z komisją organizacji społecznych i młodzieżowych a także rolnej. Stawiane wnioski dotyczyły zmiany metod pracy instancji partyjnych i możliwości realizacji wniosków zgłaszanych przez załogi. Postulowano: odbiurokratyzowanie pracy aparatu partyjnego, wprowadzenie dyskusji autentycznych, niereżyserowanych.

dwa tygodnie ekonomiki

Samorządność

Samorządność — tyle się o niej dziś mówi i pisze. Na pewno za późno i może ciągle za mało. Sądzę, że właśnie zasady sprawiedliwości i samorządności leżą u podstaw socjalistycznego ustroju, że wszelkie odchylenia od tych fundamentalnych zasad muszą prowadzić do wypaczenia sensu i istoty naszego rozwoju.

Spójrzmy na pojęcie samorządności nieco szerzej. Nie ograniczamy go jedynie do spraw socjalno-bytowych, do funkcjonowania — tak starych jak stara jest sprawa ukształtowania się klasy robotniczej — związków zawodowych. Z szeregu publikowanych ostatnio wypowiedzi wynika, iż w sprawie funkcjonowania związków zawodowych nagromadziło się wiele spraw budzących słuszne niezadowolenie szerokiej rzeszy członkowskich. Trzeba zlikwidować biurokratyczną narogłość, która grubo osiadła na ich strukturze, trzeba przywrócić to, co od zarania istnienia klasowych związków zawodowych było ich podstawą: obrona praw i interesów pracujących. Są dane ku temu aby sądzić, iż w najbliższych tygodniach — bo przecież nie uda się tego dokonać z dnia na dzień — następowane będą w tej dziedzinie zdecydowane zmiany na lepsze. Takie, na które oczekuje ogół pracujących w Polsce.

Ale to nie wyczerpuje problemu samorządności. Weźmy na przykład szeroko rozwiniętą u nas i powszechną — zarówno w miastach jak i na wsi — spółdzielczość: rolniczą, zaopatrzeniową, mieszkaniową, mleczarską i wiele, wiele innych. W statutach wszystkich organizacji spółdzielczych zasada samorządności jest zagwarantowana. Powiem więcej: leży ona u podstaw tej formy zrzeszenia się, czego wyrazem są przecież statutowe władze — walne zebranie członków, wybieralny zarząd i jego przedstawicielstwo. Od tej strony nie mam wątpliwości co do gwarancji, jakie szeroko pojęta strona organizacyjna spółdzielczości daje zasadzie samorządności. Rzecz jednak w tym, aby te statutowe prawa były wszędzie, bez wyjątku przestrzegane i z całą konsekwencją egzekwowane. Bo gdy tak nie jest — rodzą się wątpliwości co do sprawiedliwego przydziału mieszkań, właściwej kolejności prac SKR-ów czy, przykładowo, sprzedaży w sklepach spółdzielczych.

Nie zapominajmy również, iż wytworzyliśmy — a w ostatnich latach nawet rozwinięliśmy — różne formy demokratycznej kontroli społecznej. Właśnie tej samorządnej, opartej na mądrości i szerokim udziale pracujących, społecznej kontroli należy się bardziej liczące miejsce w całokształcie naszych działań.

I jeszcze jedna refleksja. Głęboko humanistyczne hasła sprawiedliwości i samorządności realizowane są przez nas samych, przez każdego z nas. Ale nie może to oznaczać 35 milionów różnych racji. Nie ludzi się. Nie ma takiej sytuacji, w której decyzje globalne mogą zadowolić dosłownie wszystkich. Samorządność i sprawiedliwość musi być realizowana przez przedstawicieli szerokiej masy — mandatuariuszy, którzy działają w ich imieniu na niwie partyjnej, związkowej, spółdzielczej i każdej innej. I tym demokratycznie podejmowanym decyzjom musimy się podporządkować. Jest to warunek pozwalający na umocnienie państwa, przeciwstawienie się słabościom i przekładaniu własnego ja nad interes społeczny.

Tak właśnie rozumię samorządność.

JERZY BIELECKI

kontakty kontaktów

Kolomyja, wieś zupełnie typowa, w stylu „Daleko od szosy”. W niej bielejąca z daleka zlewnia, niewielka szkoła i sklep. Ten ostatni w domu prywatnym. Otwarty w godz. ... No właśnie! Z jednej strony dobrze, że całą dobę, bo chleb można dostać nawet po powrocie z pola o zmierzchu. Ale wieczorem sklep i jego otoczenie tylko dla odważnych! Spotkana na drodze kobieta mówi: „W sklepie wódki nie ma. Chyba nie może jej być, ale takie coś można dostać, choć nieco drożej, obok. I piją. Co wieczór tam pełno i żonaty, i chłopaków. Jest jeszcze wino, piwo. Rzadko który nie chodzi! Kiedyś kobiety chciały to zlikwidować. Nawet podpisały się. Ale znalazły się takie, które podpisały się przeciw. Ich mężowie tam nie chodzą. No i zostało.” Nie ma klubu. Kiedyś była chyba świetlica w jednej z sal w szkole, ale teraz nie ma. Czasem nauczycielka z harcerzami robiła dyskotekę. Ostatnio nawet tego nie organizują. Chcę razem z Wami zastanowić się nad tym, jak pomóc ludziom, którzy mogliby dać z siebie więcej, ale wszystko się im sprzeciwia i przeszkadza. Łatwizna i landeta ogarnia wszystkich. I co najgorsze — porywa młodych.

Czytelniczka z Kolomyi
(nazwisko i adres znane redakcji)

Codziennie dojeżdżam (jak wiele innych osób) z Woźnejwsi do szkoły w Grajewie PKS-em, a kierowcy autobusów, niestety, przeważnie się spóźniają. Z tego powodu od początku roku szkolnego spóźniam się i ja, na zajęcia. Wychowawczyni nie chce nam wierzyć, bo gdy zadzwoni do kierownika na stację PKS, zostaje poinformowana, że autobus wyjechał do Woźnejwsi zgodnie z rozkładem jazdy. Z Woźnejwsi wyjeżdżam jednak z opóźnieniem. Dlaczego tak się dzieje? Do kogo mamy się zwracać? Może zamieścić ten list w Waszym czasopiśmie i wówczas coś się zmieni? „Kontakty” nie zawiodą. Liczę na Was.

(nazwisko i adres
do wiadomości redakcji)

Wreszcie mamy pismo „z własnego podwórka”, ale bez piętna провинции! Dziękuję razem z tymi, którzy podzielają moje zdanie. „Kontakty” — nie ujać, nie dodać! Chciał się tacy, co nie przepadają za Waszymi nie-ziemskimi sprawami i unikają ostatniej strony. A może nie chcą zbyt mocno angażować się w klimat własnej przyszłości. Przesyłam szczerze pozdrowienia i życzę wielu, wielu czytelników.

DANUTA KULESZA
z gminy Rutki-Kossaki

Od chwili ukazania się pierwszego numeru tygodnika jestem tym czasopiśmie zachwycony, za co Państwu serdecznie dziękuję i z całego serca życzę pomyślności. Jak rozumiem, „Kontakty” są, albo powinny być, pismem pomagającym władzom administracyjnym i partii w rozwoju gospodarczym naszego województwa. Jestem rzemieślnikiem. Przed paroma laty, gdy zapalono przysłowiowe „zielone światło” dla rzemiosła, po spenetrowaniu rynku „polnozbymowskiego” i sklepów chemicznych, stwierdziłem, że jest nielży z częściami zamiennymi, lakierami i farbami renowacyjnymi. Otworzyłem zakład blacharki samochodowej i lakiernictwa. Później zaczęły występować braki tych artykułów w handlu. Może to sprawił jeden z przeświatnych diabłów? Obecnie coraz częściej termin odbioru samochodu uzależniam od dostarczenia mi materiałów. Nie wiem jak postępują inni rzemieślnicy, ale przypuszczam, że podobnie. Czy moglibyśmy wspólnie się zastanowić, co zrobić, żeby było tak jak dawniej. Wówczas klient będzie zadowolony z terminowej i fachowej usługi, a rzemieślnik — z dobrej i terminowej roboty.

Rzemieślnik
(nazwisko i adres znane redakcji)



— Jeszcze dwa miesiące temu miałam nadzieję, że wszystko się zmieni. Było to na początku roku; mąż wrócił z pracy w Wysokiem Mazowieckiem. „W tym roku otrzymamy mieszkanie — powiedział — jesteśmy na szóstym miejscu w kolejce”.

— Problemy z mieszkaniem zaczęły się zaraz po ślubie — opowiada Janina Sakowicz z Szepietowa. — Początkowo mieszkaliśmy u moich rodziców, ale dom był za ciasny, zwłaszcza wtedy, gdy urodziła się Monika. Jak dziecko miało osiem miesięcy, przenieśliśmy się do teściowej. W tym czasie urodził się Wojtek. Mieszkanie miało zlegrzewanie, dzieci chorowały. Wyjechałam więc z Moniką i Wojtkiem do mojej mamy. Mąż nie mógł z nami jechać, bo mieszkanie było ciasne i daleko miałby do pracy. Postanowił odwiedzać nas co niedzielę. Początkowo przyjeżdżał regularnie, później coraz rzadziej. Bałam się, żeby rodzina się nie rozpadła. Wynajęliśmy więc mieszkanie w Szepietowie. Nie wyglądało najlepiej, ale dom położony był z daleka od drogi, więc dzieci mogły

— Foteliki, ławę i połowę ubrań oddałam na przechowanie siostrze. W sekretarzyku złożyłam białą, wyszywaną pościel; wyjęłam czarną. Meble stojące pod ścianą pokrywa brunatny nalot. Muszę je codziennie wycierać. Buty wstawiłam do szafy, po kilku dniach wyjęłam zielone. Drugim mankamentem jest nieszczelność futryn i podłóg. Zimno wieje szparą pod drzwiami. Nocą myszy harcują po mieszkaniu. Próbowaliśmy utykać dziury, na podłogę położyłam wykładzinę, ale niewiele to pomaga. Najgorzej jest zimą. Po każdym gotowaniu muszę wycierać ściany. W domu zaduch. Wiadomo: jak są małe dzieci, to i różne zapachy się rozchodzą, a wilgoć je tylko podtrzymuje.

Dwuletni Piotruś, chyba z myślą o wietrzeniu, wyrzuca z łóżeczka poduszkę i pierzynę.

dziny, które otrzymały mieszkania, mają po troje dzieci, a czwarte w drodze, i jeśli śpią w zawilgoconym pomieszczeniu, to nie zostały skrzywdzone.

Następnego terminu przydziału mieszkania nie określono. Sławomirowi Sakowiczowi powiedziano w Spółdzielni Mieszkaniowej w Wysokiem Mazowieckiem, że zamieszka w którymś z obecnie planowanych bloków.

— Boję się myśleć o przyszłości. Za miesiąc pójdę do szpitala, urodzi się czwarte dziecko. Nie wiem, jak sobie poradzę: trzeba będzie dużo prać i suszyć. Przenieść się gdzieś indziej nie możemy. Ludzie wynajmują najczęściej tylko po jednym pokoju, a tutaj mamy dodatkowo coś w rodzaju kuchni.

— Moniki nie ma, jest w kolu — gwarzy Piotruś.

życie w wilgoci

bawić się bezpiecznie. Szybko skończyła się nasza radość; zmora stała się wilgoć. Dom zbudowano na podmokłym terenie.

Kuchnia jest ciemnym, wąskim pomieszczeniem z małym okienkiem. Ciemne pasma biegają po ścianach od szaro-czarnego sufitu do lamperii. Stoi w niej tylko stół i piec kuchenny.

— Kredens wystawiliśmy na korytarz. Jeśli w kuchni coś postoi, szybko pokrywa się pleśnią. Lodówkę przenieśliśmy do pokoju. W kuchni odpadała z niej farba, rdzewiała. W pokoju też rdzewieje, ale wolniej. Koleżanki, które mnie odwiedzają, dziwią się, dlaczego tak zaniedbałam mieszkanie. Nie znam całej prawdy. Przecież ja maluję ściany co miesiąc. Na strychu stoi cały czas wiaderko z zapasem farby. Co z tego malowania, jeśli po kilku dniach jest tak sam skutek?

Pokój też jest przereczony. Stoją tam sekretarzyk, dwie kanapy, łóżeczko, piec i lodówka.

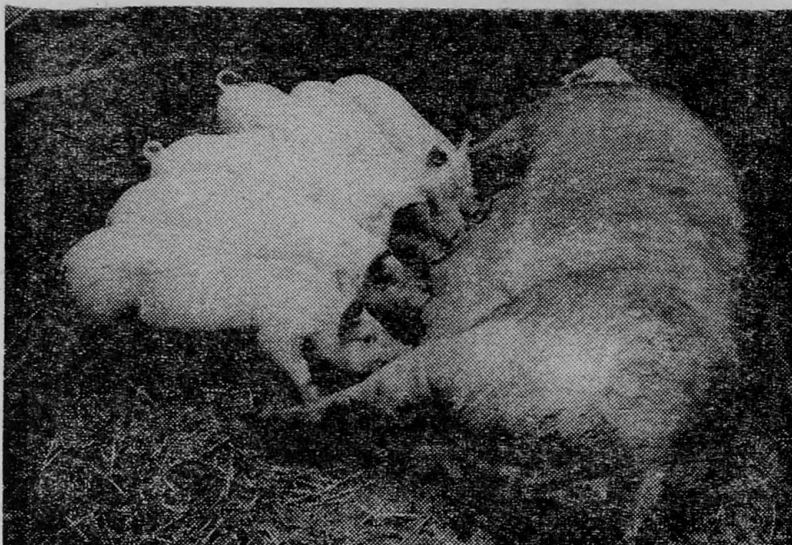
— Właścicielka domu mieszka w innym budynku, nowym, z rozsuwanymi ścianami. Tego, w którym my mieszkamy, nie oplaca się jej remontować. Będzie sprzedany. My natomiast na remont nie mamy środków. Mimo to może byśmy coś naprawili, ale spodziewaliśmy się, że lada moment przeniesiemy się do nowego mieszkania. Czekaliśmy, dopóki nie przyszła w czerwcu komisja ze Spółdzielni Mieszkaniowej w Wysokiem Mazowieckiem; trzy osoby. Zajrzały do kuchni i powiedziały: „Większego mieszkania pani nie dostanie”. Ja przecież nie żądam większego, było by suche i widne. Może być nawet w starym budownictwie. Ci z komisji zauważyli, że jest brzydki zapach. „Odpowiedź otrzyma pani na piśmie” — powiedzieli i poszli. Nikt nie zapytał, jak te warunki utrudniają wychowywanie dzieci. Po miesiącu nadeszła odpowiedź negatywna. Decyzję uzasadniono faktem, że zgłosiła się rodzina mieszkająca w jeszcze gorszych warunkach. Jeśli te ro-

— Udało się umieścić Monikę i Wojtkę w przedszkolu; jest mi trochę lżej. Mogę coś zrobić w domu. Po co dzieci mają siedzieć cały dzień w tej wilgoci? Cieszę się, że rosną, ale chciałabym, aby rosły w lepszych warunkach. Przy takiej gromadce niełatwo jest związać koniec z końcem. Mąż daje mi co miesiąc około trzech tysięcy. Resztę zostawia sobie na większe zakupy. Tysiąc trzysta idzie na mieszkanie; za resztę muszę wyżywić całą rodzinę. Codziennie kupuję sześć litrów mleka. Czasem nie idę do sklepu, żeby zaoszczędzić. W tamtym miesiącu ledwie wystarczyło na chleb. Dobrze, że mamy rodzinę na wsi; my pomożemy, oni przywiozą ziemniaków, warzyw. Chętnie wróciłabym na wieś. Ludzie mieszkają tam lepiej niż w mieście. Ale tatuś przepisał gospodarstwo na brata. Zresztą mąż nie lubi wsi.

WIESŁAW KOŁOWSKI

co u państwa słychać?





DOKONCZENIE ZE STR. 1

sensie — można powiedzieć — przykład gospodarstw wielkoprodukcyjnych działał zaraźliwie. Józef Śledziwski, gospodarz na ośmiu hektarach we wsi Nagórki w gminie Zambrów, sam doszedł do uproszczenia produkcji, a następnie — do specjalizacji. Najpierw myślał o kontraktacji bydła, lecz odległość od zagrody pańniki wyraźnie utrudniała ów zamiar. Wziął się więc za hodowlę warchlaków. Obecnie sprzedaje ich 120 sztuk rocznie. Początkowo miejscowy gees odmówił zawarcia z nim umowy kontraktacyjnej, gdyż miał już zamkniętą listę stałych dostawców. Ale Śledziwski jest sprytnym chłopem; zawarł umowę kooperacyjną z (odległym o 25 kilometrów) Kombinatem Łąkarskim Grądy-Woniecko. Ma z tego taką korzyść, iż Kombinat odbierze od niego każdą ilość warchlaków.

ŁOMŻYŃSKA INICJATYWA

Na przykładzie województwa łomżyńskiego rodziły się przepisy sankcjonujące specjalizację. Dwukrotnie na terenie województwa odbyły się posiedzenia Kolegium Ministra Rolnictwa: w Ciechanowcu (w 1978 r.) i w Łomży, połączone z odwiedzinami gospodarstw. Przygotowany, w oparciu o doświadczenia łomżyńskich rolników i zatwierdzony na wspólnym posiedzeniu plenarnym KW PZPR i WK ZSL, program specjalizacji został uznany przez ministra Rolnictwa za wzorowy i zalecony do stosowania w innych regionach. Tak też zrodziła się uchwała Rady Ministrów w sprawie upowszechniania specjalizacji w gospodarstwach indywidualnych. Na jej mocy przyznano im karty przywilejów i obowiązków. Dokumenty te mogły otrzymać (tak ustalił minister Rolnictwa) tylko takie gospodarstwa, których wartość rocznej produkcji towarowej z jednego hektara wynosi minimum 30 tysięcy złotych.

Przyjęty w tym czasie przez partię długofalowy program rozwoju kompleksu żywnościowego zakładał podwojenie w ciągu piętnastu lat, a więc do roku 1990, produkcji rolniej. Główną rolę w odniesieniu tego sukcesu przypisywano gospodarstwom specjalistycznym. Miały one już w roku 1980 osiągnąć prawie sześciokrotny wzrost produkcji mleka, prawie czterokrotny — żywca wieprzowego, dwukrotny — żywca wołowego, baraniego i wełny. W tych obliczeniach (mam na myśli cały program) było wiele optymizmu i książkowej ekonomii, pomimo że nawet już wtedy nie brakowało trzęsących głosów, iż całe to zamierzenie wymaga ogromnych nakładów, których nie jest w stanie udźwignąć gospodarka narodowa. Przecież wiadomo, że produkcji zwierzęcej nie zwiększy się bez wybudowania obór, i to nie tradycyjnych, lecz w pełni zmechanizowanych, nowoczesnych, wielostanowiskowych, przystosowanych do wielokrotnie powiększonego stanu pogłowia. No i trzeba jakoś te zwierzęta wykarcić. Liczono na nieustającą hośną na pasze treściwe i wzrastający import zbóż. Hossa się skończyła i przyszło wzywać rolników do intensywnego produkowania pasz gospodarskich oraz namawiać naukowców — przy coraz bardziej odczuwalnych brakach niektórych nawozów mineralnych — do przyspieszenia prac nad wyprodukowa-

niem wysokopielnych zbóż i roślin pastewnych.

Te kłopoty są także udziałem rolników i władz województwa łomżyńskiego. Okazało się wyraziście, że kiedykolwiek, że właściwie wszystkiego nie wystarcza: maszyn, nawozów mineralnych, materiałów budowlanych, kredytów. Według pierwotnych założeń i obietnic, Łomżyńskie chociażby w bieżącym roku powinno otrzymać: 8300 ciągników i towarzyszących zestawów maszyn, 4545 zgarniaczy do siana, 3588 dożarek „Alfa-Laval”, 2500 siewników zbożowych. Wiadomo: dostanie tylko namiastkę tego, na przykład ciągników najwyżej po 2-3 na gminę. Z pozostałymi maszynami sytuacja wygląda podobnie. Z materiałami budowlanymi — również.

Wobec niemożliwości zaspokojenia potrzeb rolniczych — zaczęto dzielić według zasady: „Tak krawiec kraje, jak materii staje”, a że karta-umowa obligowała władze, więc

swoje warunki, i on przystanie, bo ziemniaki i trawa zgnić nie mogą.

Jego znajomy z pobliskiej wsi przynajmniej w budowaniu, ma więcej szczęścia. Zdobył siporex na chlewnię. Nawet sami przywieźli mu go na plac budowy. Zgodził ekipę murarską. Już mu się wydawało, że chwytą za nogi samego Pana Boga, ale zabrakło, przyobiecane w gminie, cementu. Każą czekać do przyszłego roku. Praktyczna pani-żona mówi, żeby wycofał się z tego przedstawiania gospodarki na nowoczesną, ale wygra wstyd, powiększony zazdrością. Sąsiad dostał eternit, drugiemu przyznali ciągnik, jeszcze innemu — dwusobowy plug. Więc bierze na wstrzymanie i czeka. Ale nie bierze. Jest zaangażowany w specjalizację, więc poszturkuje władze gminne. Te się bronią: „A co to, pan jeden? Każdy specjalista. Jak można, to się pomaga”.

Więc w gminach, przed obliczem władzy, trwa licytacja zasług uprzywilejowanych specjalistów: on dobry, ja jeszcze lepszy, bo daję większą produkcję rolną.

Siedziwski, choć może wykazać się wysoką produkcją, czeka na budowę silosu już kilka lat. Cementu nie daje. Co roku traci przez to kilkanaście kwintali ziemniaków. Ma 120 sztuk świń i musi gdzieś dla nich przechowywać paszę. Póki co, magazynuje ją przy oborze, tę gospodarską, oczywiście. Stale jest w kropce: będzie trzymał w kopcach, sporo ziemniaków się zmarnuje; uparuje — też nie ma gdzie przechowywać, no i znowu strata. Aby nie wpaść w pesymizm, już teraz marzy o zapewnieniu sobie przynajmniej węgla na zimę, żeby żona nie gadała, że mądry Śledziwski... po szkodzi. W gminie jednak słyszy: „Trzeba uzbroić się w cierpliwość”, i już wie, że w Zambrówie, choć w innych gminach na pewno będzie lepiej, powtórzy się sytuacja z ubiegłego roku. Przesiedział na punkcie sprzedaży cały drugi dzień Bo-

będzie o połowę mniejsza niż w roku ubiegłym. Jednak zmiana planowania nie rozwiązuje wszystkich problemów.

Stanisław Konopka ze wsi Konopki (cała wieś jest specjalistyczna) wyciąga z jednego hektara mniej niż nakazuje norma gospodarstwa specjalistycznego. W gminie tłumaczą to nieurodzajnymi latami. Eugeniuszowi Stańczykowi padły dwie krowy: też miał ważny powód do niewykonania rocznego planu sprzedaży mleka. W gospodarstwie Juliana Kaczyńskiego pada trzy tysiące mleka na jeden hektar. Jest to wysoki wskaźnik i w gminie, i w województwie. — U Lucjana Głębokiego — mówi pracownik służby rolnej — ładniej o oborze niż w niejednym domu.

W sprawozdaniach gminnej służby rolnej pojawia się ostry podział gospodarstw na specjalistyczne i niespecialistyczne. Pierwszą grupę jak to wynika z przytoczonych wyżej przykładów, uważa się za najważniejszą i czyni się wszystko, by wykazać jej wyższość nad drugą. Rzeczywiście czasami mówi o „mnie”. Jeszcze w wielu gospodarstwach o uproszczonej produkcji mających już status specjalistycznych, można spotkać i świniaki, i krowy, i koniki, i cielaki, i drób. Ich właściciele boją się jeszcze, czy też nie mają warunków, postawie wszystkiego na jedną kartę. Ich obawa nie może całkiem rozproszyć niezbyt elastyczna — jak dotąd — polityka cen. Rolnikowi musi opłacać się to, co uprawia i hoduje. W przeciwnym przypadku zawsze góra będą „wszystkosieje”, a specjalista zostanie zmuszony do liczenia na luk koniunktury, bowiem w takich warunkach trudno o ciągłość w rozwoju wybranych wcześniej kierunków specjalizacji.

Stanisław Piekutowski ze wsi Dąbrowa Łazy w gminie Szeplietowo kontynuuje odziedziczony po ojcu, tradycyjny model gospodarowania, choć może w tej chwili po-

Specjalizacja na dyszlu

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

dostawali przede wszystkim specjalistów. Z czasem, przy administracyjnym pędzie na specjalizację, nawet dla nich nie starczyło zagwarantowanych środków. A jednak wieś łomżyńska nadal ogromnie się zmienia i nawet sam Sherlock Holmes nie ustaliłby, jakim sposobem zdobywała materiały. Tylko w roku ubiegłym wybudowano we wsiach łomżyńskich 571 nowocześniejszych obór, 122 chlewnie, 17 owczarni, 5 kurników, co pozwala dodatkowo hodować 9066 sztuk bydła, 7783 świnię, 1712 owiec-matek, 40 845 niosek.

POSZTURCHIWANIE WŁADZY

Gdy do gminy Zambrów dotarła moda na specjalizację, a z nią pogon za statystyką, u takich gospodarzy, jak Śledziwski, niemal drzwi się nie zamykały. Dobremu rolnikowi trudno było nie zostać specjalistą. Dostrzegali go wszyscy: sołtys, naczelnik, instruktor rolny. Byli nim także zainteresowani przedstawiciele Banku Gospodarki Żywnościowej. Przyjeżdżali kilkakrotnie, aż do skutku. Tylko wypełnić druczek i już ćwierć, półmilionowa pożyczka na rozwój jest. Kto nowocześniejszy, podpisał szybciej. Kto zwlekał, ten stracił, bo już zagęściły się szeregi specjalistów. Otrzymał tylko weksel bez pokrycia — kartę gospodarstwa specjalistycznego. Teraz tylko się pociesza, że z wszelkich obietnic dostanie może ciągnik i tak, jak inni specjalisci, przymocuje do niego drabinasty wóz, po czym będzie odwiżdżał naczelnika przynajmniej co drugi dzień, aby wyblagać cokolwiek. I tak, jak inni, będzie miał przywilej pierwszeństwa odpowiedzi: „A co ja poradzę. Limit się wyczerpał. Niech się pan dowie pod koniec roku lub na początku przyszłego”. Rad niera, tak jak inni, zwróci się do eksperta i usłyszy: „Za tydzień, dwa możemy wykopać”. A że nie zechce czekać — wejdzie w układ z zasobnym w znajomości i maszyny gospodarzem, ten mu podyktuje

zgo Narodzenia. W kolejce czekało ze stu chłopów: specjalistów i niespecialistów.

Jeszcze parę lat specjalista to był ktoś. — Wyżej pięt nikt nie wyskoczy — twierdzi gminny instruktor rolny w Zambrówie. — Należy wydawać tylko tyle kart, ile mamy narzędzi rolniczych i materiałów budowlanych, bo w przeciwnym przypadku specjalizacja zejdzie na psy.

Podobnie myślą instruktorzy w gminach: Piekuty Nowe, Szeplietowo, Czyżew, Wysokie Mazowieckie, Kolno, Grajewo. Przyszło więc ostrzeżenie. Łomżyńskie, choć stworzyło wzorzec specjalizacji, samo w praktyce nie może z nim sobie poradzić. Wiadomo już: z wydajnością gospodarstw specjalistycznych w stosunku do bardziej rozwiniętych rolniczo województw spóźnia się o jeden rok.

SPECJALISTA — WSZYSTKOSIEJ

W roku bieżącym władze wojewódzkie zmieniły sposób planowania rocznego przyrostu gospodarstw specjalistycznych: gminy podają swoje propozycje do województwa. Korekta w planie jest bardzo widoczna. Liczba gospodarstw, które otrzymują status specjalistycznych,

zwoić sobie na pełną mechanizację gospodarstwa i jego specjalizację. Budynki ma do tego celu odpowiednie. Projekt kierunku specjalizacji opracowują w gminie powoli. Wiele też czasu musiał stracić na wystawienie nowej stodołobory.

— Mnie te sprawy dziwią — mówi — bo są telefony, terminy realizacji, i nie nie pomaga, tylko musi się jechać do urzędu i czapkować. Nieraz zdążyć powiedzieć tylko: „dzień dobry” i „do widzenia”. Gdy chcę się czegoś dowiedzieć w sprawie nawozów, węgla, nowych odmian zbóż, muszę jechać osobście. W urzędach gminnych czuję się jak intruz. Oni zawsze mają dość własnych spraw. Interesant im tylko przeskadzają. Ale jacy by nie byli, obejść się bez nich trudno. Chyba że chciałoby się wrócić do gospodarki naturalnej. Czym gospodarstwo jest bardziej specjalistyczne, tym większe ma połączenie z instytucjami, tym większe od nich uzależnienie. Jeśli nawet powinienem, nie obrażam się. I tak muszę do nich przyjeść.

Niejednemu specjalistcie marzy się stan idealny: telefon do urzędu gminy, a tam wyjaśnią, informują; telefon do GS-u, i już przywożą, dostarczają, co potrzeba; telefon do Zakładu Usług Mechanizacyjnych — przyjeżdżają, koszą, wy-





kopują, zbierają. Ale wystarczy jedna próba telefonicznego kontaktu i zaraz czuje się twardą rzeczywistość, od której lepiej się nie oddzielać. Zależność jest tylko jednostronna: rolnika od instytucji połączonych do tzw. obsługi wsi.

Choć latami mówi się o rozwoju usług — mimo widocznych postępów — zawodzą one na każdym kroku. Jakoś nie możemy uznać w praktyce, iż są one przecież czynnikami produkcyjnymi. Jeśli są, to bardziej (stąd pęd na specjalizację) jest ona oparta na rosnącej podziale pracy. Jeśli specjalizacja od tuczu świń czy hodowli bydła musi z konieczności stać się fachowcami od wszystkiego, zastępować usługowców, mniej mają czasu na myślenie i działanie, których następstwem mogłyby być wzrost produkcji rolniczej.

Państwowe Ośrodki Maszynowe, które (taka była idea ich powołania) miały być zapleczem technicznym dla wsi i uspołecznionych gospodarstw, w wielu przypadkach przemieniły się w zakłady produkcyjne przedsiębiorstw przemysłowych i spółdzielczych. POM w Zambrówie chętniej naprawia specjalistyczne samochody przedsiębiorstw budowlanych niż kombajny czy ciągniki. Co najwyżej przystaje na mniej kłopotliwe przeglądy gwarancyjne, bo pieczęć się przystawia i forsa leci. Toteż wiele Spółdzielni Kółek Rolniczych w naprawie sprzętu jest zdanych tylko na własną pomysłowość i zaradność. Dochodzi do groteskowych sytuacji. Kierownik ZUM-u w Wiśniewie dopiął budowy zaplecza technicznego własnymi siłami. Ponoć tylko z nudów. Nawet traktorzyści mieli rozrywkę w dni deszczowe. Dopięciem był zakład o litr wody: jedna cegła — jedna sekunda. Takie tempo! Oczywiście, powody tego przedsięwzięcia były poważniejsze. Po prostu nie było już innego wyjścia, chyba że trzy małyby się wiatr w uszach, żeby nie słyszeć narastającego narzekania rolników na niesprawność maszyn. Teraz ZUM w Wiśniewie nie liczy na POM; ba! — nie liczy na przemysł, który wyręcza w produkcji części zamiennych.

Dawniej rolnik, w obliczu nieskomplikowanej techniki, mógł przyjąć liczyć na kowala. Technika się skomplikowała, a mechaników jak na lekarstwo, nawet w siedzibach gmin. Wykruszyli się kowale i często nawet nie ma komu konia podkuć. Ci, co zostali, szczególnie — tak rzadkie dziś — złote rączki (na przykład kowal ze wsi Mystki-Rzym w gminie Wysokie Mazowieckie czy Henryk Koleski ze wsi Dąbrowa Łazy w gminie Szeplietów), muszą zabierać się do maszyn z wielkim młotem, bo w ich warsztacie brak podstawowych narzędzi.

Funkcji usługowej mogłyby się podjąć warsztaty Spółdzielni Kółek Rolniczych, ale i tam to brak ludzi, to narzędzi, to dobrej woli i pomysłu. Zresztą wciąż bardziej opłaca się im naprawiać samochody, przedsiębiorstwom pozarolniczym, wozić (jak to robią w Rosochacie Kościelnym w gminie Czyżew) piasek na drogę, wiazać się stałymi umowami transportowymi z różnymi przedsiębiorstwami, często nie mającymi nic wspólnego z rolnictwem, i patrzeć, by jakoś opłacać i bez narzekania traktorzystów tydzień zleciał. A rolnicy, co... narzekają, ale samorządnej siły, która zmieniałaby ten stan rzeczy, nie mogą z siebie wykrzesać.

Mówiąc o tym jeden ze specjalistów zażartował: — Wygląda na to, że nie my stworzyliśmy SKR-y, lecz zostały nam dane z czyjejs łaski i łaskę dalej czynią.

NA WOZIE I POD WOZEM

Powszechne zafascynowanie specjalizacją sprawiło, iż w głębokim cieniu pozostały małe i średnie gospodarstwa czy — jak kto woli — tradycyjne, które (jak by nie liczyć) wciąż decydują i decydować będą o rozmiarach rolniczej produkcji województwa. Takich gospodarstw jest w Łomżyńskim ponad trzydzieści pięć tysięcy, czyli na ich dziesięć przypada jedno specjalistyczne.

Proporcjonalnie biorąc — znacznie rzadziej korzystają z kredytów i innych rodzajów pomocy. Prawie nie interesuje się nimi służba rolna, szczególnie najmniejszych. Kiedy zapytałem o nie naczelnika miasta i gminy w Zambrówie, był zaskoczony. Przywykł, że wszelkie

pytania dotyczą wyłącznie specjalistów. I, prawdę mówiąc, nie był w stanie podać liczby rolniczych drobniaków. Dopiero w ostatnich tygodniach, kiedy w całym kraju zaczyna się o nich przypominać, dozor łomżyńskich gmin przystępuje do ich wyławiania; namawia właścicieli do produkowania chociażby tylko na własne potrzeby, aby nie pogłębiać — i tak znacznych — trudności rynkowych. Śmiało też idzie się po rozum do głowy i przypomina, że przecież te rolnicze drobniaki, na przykład w miejscowościach podwarszawskich, jeśli nie są samowystarczalne w niektórych dziedzinach, to produkują w nadmiarze przynajmniej warzywa i owoce, którymi zasypują rynek warszawski; ba! — wspomagają nimi (bądź co bądź rolnicze) województwo łomżyńskie.

Tymczasem u nas gleba życzliwości dla nich jeszcze nie odtajala po długotrwałej, można rzec: polarnej zimie. — Przejęłem po matce półtora hektara — mówi Stanisław Leszczyński, mieszkaniec gminy Zambrów. — Chciałem uprawiać warzywa pod folią, lecz nie uzyskałem pozwolenia, ponieważ za parę lat zlokalizuje się w tym miejscu jakaś inwestycja. Niech więc ziemia czeka, niech czekają ludzie.

Jak się okazuje, zasada wydłużonego czekania ma tu zastosowanie do większości małych gospodarstw. Tadeusz Krajewski, rolnik-robotnik z Nagórek, ma pięciohektarowe gospodarstwo. Chowa trzy krowy. Co roku odwozi do punktu skupu 1000 litrów mleka i 18 tuczników. Na pewno nie jest to rekordowa produkcja, ale nikt przecież z czystym sumieniem nie powie, że nie mogłaby być większa, gdyby większa była pomoc fachowa, kredytowa, w postaci materiałów budowlanych czy chociażby jakiegokolwiek instruktażu ze strony służby rolnej. Jego sąsiad, Edward Murawski, właściciel trzyhektarowego gospodarstwa, miał szczęście: dostał kredyt na budowę budynku, lecz nie otrzymał przydziału materiałów.

— Z papierków — powiada — domu nie postawię. Przyjdzie widocznie dać komuś w łapę, jak to robią inni. Mówi się u nas o ściąganiu łapownictwa, a z drugiej strony czyni się wszystko, aby miało ono jak najlepsze warunki rozwoju.

Mimo tych narzekań i kłopotów, faktem jest, że większość gospodarstw indywidualnych w województwie łomżyńskim przeżywa w ostatnich latach istną rewolucję. Widać i w ogóle zagrody przeistaczają się nie do poznania: budują się w zawrotnym tempie, różnymi sposobami i zewsząd ściągają materiały, fachowców. Przybywa budynków, a w „izbach” — nowoczesnych urządzeń i miejskich mebli. Równocześnie zmienia się struktura gospodarstw. Wykruszą się małe, a nawet średnie. Przybywa największych obszarów.

W ciągu ostatnich pięciu lat liczba drobniaków spadła o prawie półtora tysiąca. Niewątpliwie dał o sobie znać powszechnie wprowadzony system emerytur i rent. Przyspieszyło to proces przekazywania gospodarstw następcom, którzy z większą energią zabierają się do rozbudowy przejętych zagrod, wprowadzają mechanizację, a często i dokupują ziemi. Wielu z nich zmierza także do uproszczenia produkcji.

Nie ma odwrotu od specjalizacji. Jest natomiast — coraz powszechniej zgłaszany — postulat, aby nie odbywała się ona zbyt wyraźnym kosztem pozostałych gospodarstw. Co prawda specjaliści szybciej poprawiają dynamikę wydajności z jednego hektara czy też wskaźniki obłady zwierząt we wsiach; owszem, poprawiają średnią statystyczną, ale i... pogarszają ją zarazem. Nie bezpośrednio one, lecz ci, którzy ją gubią. Gdyby każde z pozostałych gospodarstw wyprodukowało chociażby o litr mleka dziennie więcej, dostarczyło kilkadziesiąt kilogramów więcej mleka rocznie — korzyść społeczna byłaby znacznie większa i jakżeś odczuwalna.

Przeciętnego klienta nie interesuje, czy kupowany przez niego produkt pochodzi z wysoko wydajnego gospodarstwa specjalistycznego, czy z rolniczego drobniaka. Chce po prostu, żeby to dobra była dostępna. Zatem dewiza nadchodzących dni będzie zasada: popieraj specjalistę, ale opieraj się na większości, bo ta głównie decyduje o poziomie rolniczej produkcji.

FOT. GABOR LÖRINCZY



czasu na proszenie nie tracić

Stanisław Rawa, rolnik ze wsi Wiśniewo (gmina Zambrów): — Najgorsza sytuacja była do roku 1956. Już chciałem gospodarstwo rzucić, przenieść się do miasta, ale w październiku wszystko się zmieniło. Wzięliśmy się do roboty. Sprzęt kupowałem niemiecki, od szabrowników. Zdobylem kosiarkę. Z roku na rok szło coraz lepiej. Dokonałem mechanizacji gospodarstwa, mogę więc teraz stawiać na specjalizację. Ale cóż: mleko sprzedaję za złotówki, a przetwarzasz z grabiarką trzeba kupić za dolary. Wczoraj jeździłem z synem aż do Nidzicy, po roztrząsacz do obornika; 80 tysięcy chciał, bez mała tyle, co za ciągnik. Przydziału nie można się doprosić. Aby w gminie coś dostać, trzeba mieć albo naczelnika w kieszeni, albo swojego człowieka blisko wojewody. Ciągnik kupilem z kasacji. Na złom już szedł, a w moim gospodarstwie jeszcze zapał dziewięć lat. Pozostałe maszyny musiałem zdobywać sam. Samochód mam, więc cały kraj zjeździłem w

poszukiwaniu części zamiennych. Nie wiem, kto decyduje o tej produkcji. Kapuścianą głowę mieć trzeba, aby wydać decyzję: produkujecie maszyny rolnicze, a nie produkujecie części zamiennych. Albo taki przykład: w ciągniku mam stary silnik, prosiłem więc w POM-ie w Zambrówie, aby go wymienili. Odmówili. Chęć przegadać cały ciągnik. Gospodarzem ciągnika jestem ja i ja będę decydował, czy trzeba w nim tylko silnik wymienić, czy cały dać do przeglądu. Pojechałem do Białegostoku. Tak zrobili, jak chciałem.

Jakoś to gospodarstwo pcha się do przodu. Cztery lata temu zmodernizowałem oborę. Zakupiłem do jarek. Doprowadziłem byłą wodę. Najgorszy jest brak materiałów do wykończenia. Przy budowie obory obiecano mi je w pierwszej kolejności, ale musiałem kupować „na lewo”. Po jednej sztuce ściągałem z każdej wioski. Niektórzy we wsi na mnie krzywo patrzyli. Mówią: „Rawa ma wszystko”. Lecz zrzędziłem do tego uczciwą pracę. Ręce i nogi odmawiały mi posłuszeństwa nie raz. Ambitny byłem. Nie piję, więc żadnej sprawy o bufet nie opierałem. Dawać chabora, znaczą gościć się na to, co mi dyktują. Gdy była u mnie ekipa telewizyjna, to naczelnik zapewniał, że otrzymam wszystko.

Nastawiliśmy się na hodowlę świń. Później przesłaliśmy na krowy. Ponadto hoduję dwie maciory, 23 prosiaki, jednego karmika. Gospodarstwo przeciętne: 12,24 hektara.

Specjalizacja człowieka kosztuje. Nie ma tak, że podpisuję deklarację i od razu otrzymuję wszystko. Powiedzą: dostanie pan w pierwszej kolejności, ale nie zaznaczają, że ta pierwsza kolejność jest niezmierznie odległa. Mój syn robi podobnie jak ja; woli przepłacać i czasu na proszenie nie tracić. Bo to skandal: czekać na to, co dla produkcji rolnej jest niezbędne.



chłopu musi się opłacić

— Wacław Łapiński, rolnik ze wsi Kapusty (gmina Zambrów): — Tam z nich specjalist! Tak samo wszystko sieją, jak ja. Tylko tak piszą. Deklarują się. Przecież wiadomo,

że jeśli ja zasieję wszystkiego po trochu, to na pewno na tym lepiej wyjdę. Niech pan weźmie chociażby ten przykład: nastawiam się na produkcję psaz, a tu jest rok z taką dziwną pogodą, jak ten, i co? Wtedy leżę, i nikt mi nie pomoże. Ani naczelnik, ani instruktor rolny. O! Zawiozłem świnie na spód. Przed wagą padła. PZU do dziś mi za nią wypłaca i nie może wypłacić. Zasiałem dwa hektary owsa, to zdołałem zebrać zaledwie z pół; pozostały wyległy, przerosł trawą. Chyba go zaorzę. Siano mi zgniło. Na pogodę nie ma mądrych, i dlatego z uprawami trzeba trafić. Właśnie zasiałem 2,5 hektara żyta, pół hektara pszenicy, pół hektara jęczmienia, pół hektara buraków cukrowych. Też mi nie obrodziły. Mam jeszcze dwa hektary kartofli, cztery hektary trawy. Przysmyrzam się do hodowli krów, bo inyle, że to w tej chwili najbardziej się opłaca.

Lepiej byłoby, gdyby zamiast rozpisywania tych specjalizacji, zawierania głowy sobie i rolnikom, sprzętu dali pod dostatkiem i materiałów budowlanych. Chłopu musi się opłacać to, co robi.

rywalizacja i pomoc

Tadeusz Puścian, zastępca dyrektora ds. wdrażania i upowszechniania postępu w Wojewódzkim Ośrodku Postępu Rolniczego w Szeplietowie-Wawrzynicach: — Specjalizacji sprzyjają sami rolnicy, ich zacięcie i ambicja w pracy. Dochodzą do odpowiedniego poziomu produkcji, pomimo wielu trudności na rynku zaopatrzeniowym. Rywalizują z sobą i jednocześnie potrafią udzielać sąsiedzkiej pomocy. Walczą o palmę pierwszeństwa we wsi; osiągną ją, to przynieszą ją do pierwszego miejsca w gminie. Bezpośrednio współpracujemy z 40 gospodarstwami specjalistycznymi. Proponujemy im nowe odmiany zbóż, środki chemiczne, nową technologię uprawy. Z reguły okazują się one skuteczniejsze i bardziej wydajne, choć czasami przydarza się jakiś niewypał. Jednakże rolnicy nie tracą do nas zaufania. Od początku zasięga u nas rad i opinii Tadeusz Luboński z Uszy Wielkiej,

Jan Mioduszewski z Myszek-Rzymu, Zygmunt Modzelewski z Kozików-Konopek. Niezłe dochody ze swoich gospodarstw uzyskują również młodzi rolnicy. Są odważniejsi w stosowaniu nowych odmian i nowych wzorców gospodarowania.

Gospodarstwom specjalistycznym zapewniamy przede wszystkim fachową pomoc rolniczą. Jesteśmy organizatorami porad, szkoleń i kursów specjalistycznych oraz dla gminnych instruktorów rolniczych; dokonujemy analizy rozwoju gospodarstw, spieszymy z pomocą w krytycznych okresach. Muszę jednak stwierdzić, że do specjalizacji nie dojrżeli jeszcze wszyscy rolnicy. Wielu z nich boi się zmiany, obawia katastrofy swego gospodarstwa, nie ufa nowym odmianom roślin i nawozów. A może problem specjalizacji widzą w kontekście większego uzależnienia się od specjalisty z WOPR-u czy gminnego instruktora rolnego? (sz)

O czym szepczą stare gnaty

NINA OMELCZENKO

— Paluchy się rozlazły, złóście je ładnie do zdjęcia. Tam jeszcze jeden piszczelek leży, chyba żebro.

Starannie w dołku układają szczątki, by kościana postać na fotografii wypadła uroczą, choć wiedzą, że laik i tak powie tylko: trup jak trup, tyle że stary. Ziemia długo kryła te prochy. „Kiedys, jak dziedziczka kazała tu orać, to skiby, zamiast się odwalać, przykrywały się same na powrót i nie się nie dało zrobić” — powiada legenda. Do dziś łęk miejscowi nazywali po prostu cmentarzyskiem, mimo że nikt nie był pewien, czy jest nim w istocie.

Prace wykopaliskowe dowiodły, że leżą tu prochy urodzonych w XII—XIII wieku. Leżą równo, na linii wschód—zachód, by w czasie sadu ostatecznego mogły wstać i iść przed siebie, aż do Edenu. Tylko kobiety układali częstokroć odwrotnie, by jak najpóźniej tam trafiły, nadkładając drogi.

Cmentarzysko pod Małym Płocem

kiem ma charakter katolicki; zmarłych chowano pod kamiennymi płaszczkami. Leży obok wczesnośredniowiecznego grodu, który w XII—XIII wieku bronił linii mazo-wiecko-pruskiego pogranicza. Wyznaczały ją podobne grody w Nowogrodzie, Czerwoniem, Stawiskach, Pieńkach Grodzisku, Rusi Szambrach. Dwa kluczowe grody znajdowały się w Łomży i Wiźnie. Wówczas ta okolica (obszar Wysoczyzny Kolneńskiej) wyglądała zupełnie inaczej. Z jednej strony szumiała Puszcza Kurpiowska, z drugiej rozciągały się bagna nad Biebrzą.

— Znaleźliśmy tu zwalisko kamieni, z resztkami gliny i polepy, służące do uszczelniania bali drewnianych. Przypuszczamy, że jest to spalona, zniszczona budowla główna, służąca jako ostatnia linia obrony; prawdopodobnie wieża. Było także tzw. przedpiersie, otoczone pewnie ostrokołem, fosą. W miejscach, gdzie nie stały budynki, jest bruk. Był to typowy gród strażniczy. W razie napadu kobiety wiały pewnie z bydłem do lasu, a mężowie bronili grodu. Jest nawet studnia. Lustro wody byłoby widoczne może i do dziś, „ale jak Pankowskiemu wpadła tam owca, to ją zasypano kamieniami”. Lepiej, że owca, a nie dziecko, które tu się często bawiły. Ciekawe, jak długo kamień w nią spada.

Kiedy Ewa Twardowska z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, kierownik ekspedycji — okręcając się dookoła — wskazuje coraz to inną stronę, przestaje się widzieć i łęk, i domy na horyzoncie, i pola zbożem falujące.

— Tu właśnie było grodzisko, a tam, na półkolu, osada hutniczo-kowalska. Jej fragmenty pochodzą z różnych okresów. W chatkach, które na tym obszarze znaleźliśmy, by-

ły paleniska do wyrobów żelaznych i żeliwnych. Ziemia jest nasycona węglem drzewnym, wyraźnie spłowiała. Były też żarna, prądnica do mielenia zboża, przęśliki, w tym kilka z łupku owruckiego, różowego, bardzo ładnego.

Znaleziono także pozostałości chaty rogownika (rzemieślnika od rogów) i półziemiankę, a w niej grzebienie, szydła, łyżki. Na południe od grodziska ekipa natknęła się natomiast na osadę hutniczą. W ziemiankach są piecowiska i piece do wytopu rudy darniowej (średniowieczne dymarki); trafił się również klucz o wymyślnym kształcie. Znalezione nawet igły do szycia; jak z rogu obfitości sypią się stare noże. Wykopalisko jest w ogóle wyjątkowo bogate w tzw. zabytki wydzielone.

Mimo że prace wykopaliskowe w Małym Płocku dopiero właściwie rozpoczęto, liczba eksponatów przekroczyła już dwieście. Wzbogacają one zbiory Muzeum Okręgowego w Łomży. Wyniki prowadzonych tu prac mają dodatkową wartość: badana osada hutniczo-kowalska odkryta jako pierwsza na pograniczu tej części Mazowsza, a w ogóle jest ona unikalna w skali kraju. Ale na formułowanie ostatecznych hipotez jest jeszcze czas; archeolodzy będą penetrować teren do roku 1985.

Odrębną grupą znalezisk są różnego rodzaju kości. Archeologom potrafią one powiedzieć więcej. Z ludzkich resztek jednoznacznie określają płeć, wiek i choroby, które drążyły organizm za życia. W przypadku kości zwierzęcych ustalają, które gatunki były pochodzenia miejscowego, a które sprowadzono; na tej podstawie szkicują sieć powiązań handlowych, określają rodzaj hodowli. Ryb i zwierzęcy rozmaitej było wówczas co niemiara.

Aż trudno to sobie wyobrazić dziś, gdy jest jej tyle, co na lekarstwo. Zupełną ciekawostką było znalezienie kości tarpana. Może wśród nich są szczątki tych samych małych, czarnych koni, o których legenda powiada, że w bezkسیężycowe noce wydeptują trawę w kształcie serca i podkowy.

Inna legenda głosi, że przy pełni księżyca pojawia się rycerz na białym koniu i znika na łąkach. Pracujące przy wykopaliskach studentki wypatrują go jednak bezskutecznie.

Szaradę związaną z znalezieniem gnatów tarpana wikła fakt, że widoczne są na nich wyraźne ślady cięć nożem, które sugerują przeznaczenie zwierzęcia do celów kulinarnych, a wiadomo, że w średniowieczu koni nie jadano.

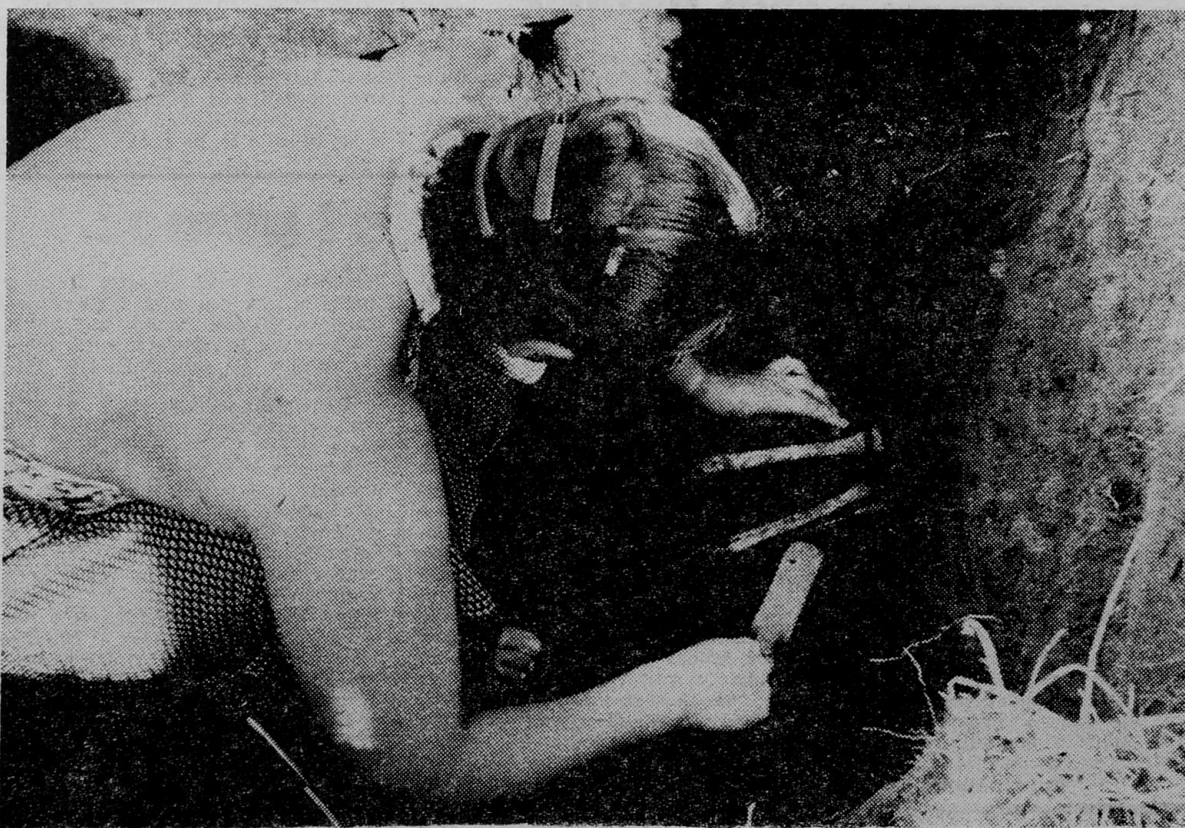
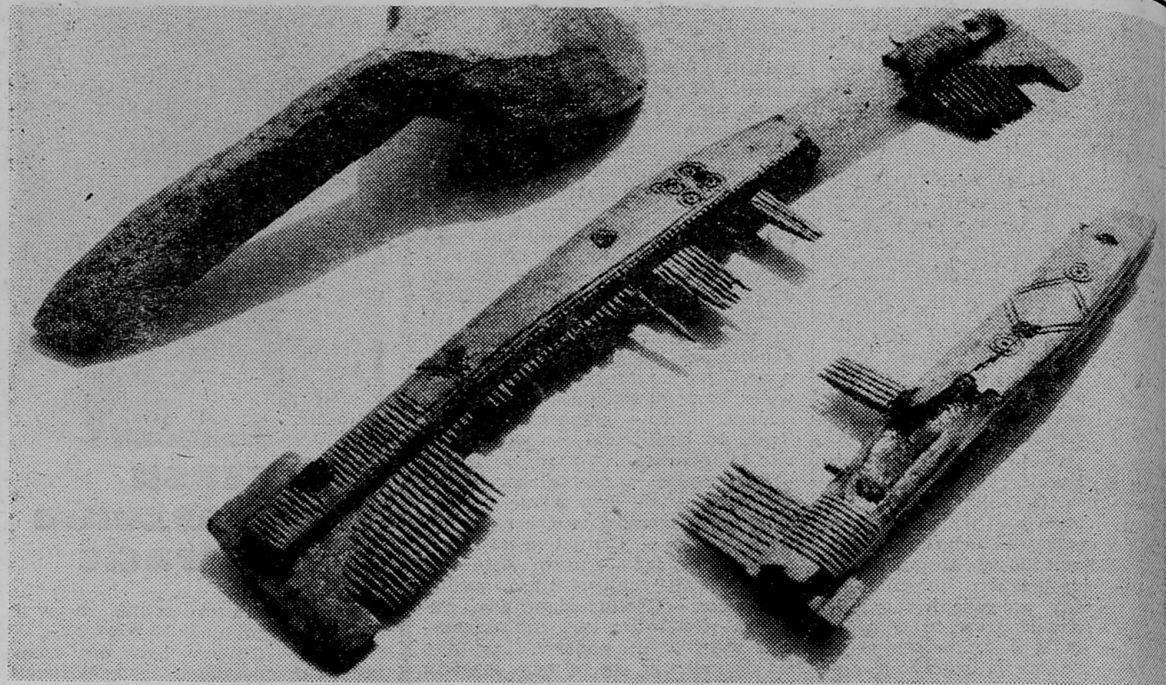
Tych niewiadomych, brakujących ogniw łańcucha, jest o wiele więcej. Dlaczego np. budowano tak wysokie wały i czy różnicowano groby w zależności od stanu posiadania? O zdoby kobiety są tworem miejscowym czy też pochodzą z „importu”? Jaka była chronologia powstawania poszczególnych obiektów? Ziemię na budowę wału wzięto z osady, wygląda więc na to, że gród powstał później.

Praca archeologa wymaga niepospolitej wyobraźni bajkopisarza i ma wiele wspólnego z kryminalistyką, bo prowadzi do faktów przez proces poszlakowy. Ustala się, na podstawie zebranych dowodów, że było tak, ale mogło też być zupełnie inaczej!

Wyobrażamy ich sobie najczęściej jako ludzi, którzy zgrabnymi miotkami oczyszczają jakieś skorupki, kawałki złomu, kamyki, drewnianka i kości. Siedząc w równutko wykopanych dołkach — biorą jakiś gnat, z którego dusza uciekła kilkaset lat temu, i oglądają w skupieniu. Ani to prochy krewne, ani bliskiego, a ci powiadają: „Ciekawe”. Widzimy ich zawsze na powietrzu, w strumieniach promieni słonecznych. W rzeczywistości jest to już finał wyjątkowo trudnej i żmudnej drogi.

Jeśli padnie podejrzenie, że na danym terenie coś się pod koldrą ziemi kryje, najpierw muszą cały obszar dokładnie zbadać i ustalić jego naturalną, geologiczną strukturę. Inaczej nigdy nie byłoby pewni, co w Matce Ziemi naturalne, a co człowiek weń włożył. Dopiero później zabierają się do zdzierania darni i kolejnych warstw. Nie jest to łatwe, zważywszy fakt, iż swa strukturę Ziemia budowała przez kilkaset lat. Często używają siekier i łomu. Trzeba też przewalczyć góry ziemi, by dokończyć wreszcie do calca, naturalnej granicy wykupu. Potem następuje żmudna inwentaryzacja, opisywanie poszczególnych eksponatów, rysowanie planów i map, konserwacja znalezisk, poddawanie ich różnorodnym analizom chemicznym. Mimo wszystko archeolodzy orzekają zgodnie, że cudownie jest odkrywać to, do czego doszli kiedyś ludzie. Dopiero wówczas widać, że nie ma pracy niepotrzebnej. Tylko po leniwych nie nie zostaje.

FOT. GABOR LÖRINCZY



penetracje



jak Kuba Bogu

7

KONTAKTY
28 IX 80

LECH GIZELBACH: Poprzednie spotkanie poświęciliśmy aktualności przysłów dotyczących stosunku człowieka do pracy. Zaryzykuję twierdzenie, że większość przysłów, zwłaszcza ludowych, odnosi się do całej sfery obyczajowości. Dawniej były one poważnym elementem moralistyki. Czy i dziś spełniają jakąś rolę w wyznaczaniu stosunków międzyludzkich?

FRANCISZEK WIKTOR MLECZKO: — Proponuję, abyśmy na wstępie ustalili, co rozumiemy przez „obyczajowość”. Określenie „stosunki międzyludzkie” nie dotyczy chyba, w Pana rozumieniu, tylko stosunków intymnych, np. o charakterze erotycznym, które tradycyjnie kojarzą się z obyczajowością?

L.G.: — Myślałem o wszelkich, powszechnie uznanych i uświęconych tradycjach, normach zachowania.

F.W.M.: — Jeśli tak, to praktycznie wszystkie przysłówia dotyczą obyczajów, zarówno te, o których mówiliśmy poprzednio, typu: „Módl się i pracuj, a garb ci sam wyrośnie”, lub — na odwrót — „Kto nie pracuje, ten nie je” (Seklucjan, wiek XVI), jak i nieco innych, np. „Kto pracuje, a przykra, ten groza uszkłada” (zanotowane przez Kolberga w XIX wieku), lub: „Kto nie może datkiem, niech zapłaci zadkiem”.

L.G.: — Z pogranicza stosunku do pracy, pracy i ludzi znam XIX-wieczne przysłówie, które mówi: „Kto stół pomoce, tego sprawa się potoczy”. Teraz jego sens oddaje: „Mów mi do ręki”. Czy rzeczywiście określają one te same zjawiska, czy też coś się za tą zmianą sformułowania kryje?

F.W.M.: — Kumoterstwo i łapownictwo, bo głównie tych dwóch zjawisk dotyczą podane przysłówia, są zjawiskami bardzo starymi. Nie występowały chyba tylko w społeczeństwach najbardziej prymitywnych, w których silniejszy fizyczny prostu odbierał słabszemu to, co tamten posiadał. Z pewną emfazą można nawet powiedzieć, że są one odwrotną stroną demokracji i względnej równości. Żeby wystąpiło łapownictwo albo kumoterstwo, potrzebne są co najmniej dwie strony, które mają sobie coś do zafęrowania, przy czym żadna ze stron nie może mieć szans odebrania drugiej tego, co tamta posiada.

L.G.: — Niezupełnie rozumiem. Jeśli ja mam kozik, a Pan Profesor sprzączkę, której potrzebuję, i wymienimy się...

F.W.M.: — To będzie handel wymienny. Ale jeśli Pan ma ten kozik i mi go podaruje...

L.G.: — To będzie podarek!

F.W.M.: — A ma Pan kozik?

L.G.: — Nie.

F.W.M.: — Wobec tego wróćmy do przykładu. Jeśli podaruję mi Pan kozik, a ja za to mam uatwić Panu (lub kornus wskazanemu przez Pana) zdanie egzaminu, przepięknie sprawę w urzędzie lub nabycie towaru spod lady, wówczas wystąpi zjawisko łapownictwa. Rzecz w tym, że — zgodnie z prawem — ja nie jestem właścicielem uczelni (ani egzaminu), urzędnik nie jest właścicielem urzędu, a ekspedient sklepu, i wszyscy trzej nie mamy prawa wymieniać tych świadczeń za profity osobiste. Łapówka więc mamy co czynienia tylko wtedy, gdy co najmniej jedna z wchodzących w grę osób nie pracuje na własny rachunek, lecz reprezentuje instytucję (państwową, społeczną lub prywatną, ale nie własną) i odnosi korzyści osobiste (majątkowe lub inne), w zamian za wykonanie (zaliczkowe) czynności, do których jest zobowiązana zakresem swoich obowiązków, albo gdy pośredniczy w wykonaniu (zaniechaniu) takich czynności.

O łapownictwie, kumoterstwie, awansach i sztuce kochania, z prof. dr. hab. Franciszkiem Wiktorem Mleczką rozmawia Lech Gizelbach.

L.G.: — A kumoterstwo?

F.W.M.: — Jeszcze raz wróć do przykładu. Pan nie dał mi kozika. Łapówki nie było. Ale założmy, że się zaprzyjaźnimy. Któregoś dnia Pan zadzwoni z prośbą o pomoc w załatwieniu sprawy, która zależy od kogoś z moich podwładnych czy przyjaciół, i ja Panu pomogę.

L.G.: — To będzie okazanie przyjaźni.

F.W.M.: — Może to być okazanie przyjaźni, pod warunkiem jednak, że okaże ją bezinteresownie i nie kosztem instytucji lub osób trzecich. Podkreślam to szczególnie, ponieważ w życiu codziennym wyolbrzymia się sprawy łapownictwa i kumoterstwa, co powoduje, że wszelkie formy pomocy lub uprzywilejowania są podciągane pod miano kumoterstwa. Jeśli urzędnik zostanie po godzinach w pracy, żeby przyspieszyć załatwienie sprawy kolegi, czyli zrobi to własnym kosztem — okaże mu pomoc, do której wobec zwykłego petenta nie jest zobowiązany. Jakże w tym będzie kumoterstwo? Mądrość ludowa broni się przeciwko takim pochopnym zaseregowaniem, formułując dowcipy o tym, że kumoterstwo jest ostatnią formą humanizmu.

L.G.: — Czyżby chciał Pan osłabić groźbę łapownictwa i kumoterstwa? W naszym społeczeństwie, zwłaszcza w związku z niedoborem w zaopatrzeniu rynku, występuje wiele głosów ostro piętnujących zjawiska, o których mówimy.

F.W.M.: — Nie chciałbym tych zjawisk wyolbrzymiać albo piętnować ich skutki, zamiast szukać przyczyn. W każdym społeczeństwie instytucjonalizowanym, gdzie usługi prywatnemu odbiorcy świadczy instytucja zatrudniająca w tym celu specjalnych wykonawców, występuje margines jakości tych usług (szybkości, wariantowości, dostępności itp.); zależy on od wykonawcy. W warunkach równowagi popytu i podaży stosunki między bezpośrednim usługodawcą a usługobiorcą ograniczają się w zasadzie do przestrzegania obowiązujących form uprzywilejowania lub — przy większej częstotliwości kontaktów oraz bliższej znajomości wzajemnej — układają się na zasadzie przysłówia: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Przy naruszeniu równowagi popytu i popytu prawa rynku prowadzą do wyrównywania wartości towarów lub usług deficytowych. W tej lub innej formie płaci się np. za nowość, rzadkość danego przedmiotu itp.

L.G.: — Zatem prawa rynku i dążenia do posiadania dóbr materialnych nadal liczą się najbardziej?

F.W.M.: — Postaram się odpowiedzieć postępując z wynikami jednego z moich badań. Dotyczy ono weryfikacji modnej do niedawna tezy, że współczesne małżeństwo dobiera się tylko na zasadzie tzw. miłości romantycznej. Badania, ze względu na ich skomplikowany charakter, prowadziłem w jednej zaleździe, ale dobrze mi znanej wsi, na początku lat siedemdziesiątych. Na pytanie: „Co jest najważniejsze przy wyborze kandydata (tłki) na męża lub żonę?” — sto procent badanej młodzieży, w wieku od 16 do 30 lat odpowiedziało (sądzę, że szczerze, a zarazem zgodnie z propagowanym wzorem), że najważniejsze są wzajemna miłość, szacunek, dobre cechy charakteru itd. Kierowanie się względami materialnymi nie było wykluczone, ale traktowane na zasadzie: „dobrze jest, gdy kandydat na męża (kandydatka na żonę) wnośi z sobą różne dobra, bo ułatwiają one start młodego małżeństwa”. Całkiem jak w XIX-wiecznym przysłówiu: „Choćby była najpiękniejsza,

to z posagiem przyjemniejsza”. Jednakże po przeanalizowaniu informacji dotyczących wszystkich małżeństw, zawartych w tej miejscowości w latach 1945—1970, okazało się, że gdy oboje małżonkowie byli rolnikami, w 95 proc. wywodzili się z podobnie zamożnych rodzin; gdy panna z zamożnej rodziny wychodziła za chłopca z rodziny biedniejszej, zawsze miał on jakiś dodatkowy plus, np. posiadał dobry fach lub wyższe wykształcenie (umożliwiające mu uzyskanie dochodów spoza gospodarstwa) itp. Krótko mówiąc: okazało się, że czynniki materialne nadal odgrywają istotną rolę przy ocenie kandydatów na męża lub żonę, tyle że obok ziemi, która kiedyś była głównym lub jedynym miernikiem zamożności, pojawiły się inne: wielkość i pewność osiąganych już lub potencjalnie możliwych dochodów. Przysłówie: „Nie ma wdzięku bez brzęku” jest zatem nadal aktualne, ale już nie wystarcza. Liczy się bowiem nie tylko aktualny stan posiadania przyszłego współmałżonka, lecz także jego możliwości, o których decydują: zawód, umiejętności i szanse awansu społecznego. Rodzice i młodzi nauczyli się sprawowania do wspólnego mianownika i porównywania różnych walorów kandydata: majątkowych, zawodowych i osobistych (w tym charakterologicznych), które łącznie rokuja dobrą perspektywę.

L.G.: — Można więc raczej mówić o pewnym pragmatyzmie życiowym tych ludzi aniżeli ich romantyzmie.

F.W.M.: — Z pewnością jest to określony pragmatyzm, bardzo sensowny. Pedagog mógłby się w nim dopatrzeć aspiracji do preferowania osób o wszechstronnej osobowości. Na dodatek jest to pragmatyzm nie pozbawiony jednak pewnej dozy fantazji oraz romantyzmu. Liczy się np. także uroda, prezentacja, możliwości towarzyskie kandydata, wzajemne uczucia („Lepsze serce gorące aniżeli tysiąc”). Mnie najbardziej interesuje fakt brania przez nich pod uwagę nie tylko tego, co ktoś już ma i kim jest, ale także tego, co może mieć i kim może być, gdyż widzę w tym odbicie zmian zachodzących w naszym społeczeństwie. Proszę wziąć pod uwagę, że, wydane w roku 1969, „Nowa księga przysłów polskich” wymienia zaledwie jedno hasło dotyczące słowa „awans”, i do tego traktujące awans ironicznie („Awansował dwa kroki wstecz”), dwa hasła dotyczące słowa „przyszłość” („Muzyka przyszłości” oraz „Przyszłość w ręku Boga”), a nie podaje ani jednego hasła do słów „postęp” czy „perspektywa” (co zresztą zrozumiałe, bo słowo „perspektywa” jest obcego pochodzenia). Sprawdziłem liczbę haseł ze słowem „jutro”. Jest ich szesnaście, z czego aż trzynastę zawiera przestrogi (o niepewnym jutrze), ironie lub sceptyzm (np. „Dzień jutrzejszy będzie piękny, jeśli nie będzie padać”), a tylko dwa są w miarę zachęcające („Kto o jutrze pamięta, znajdzie suknie od święta”, odnotowane już w XVII wieku). Realia spychały bowiem wyobraźnię środowisk plebejskich na sprawy doraźne. To samo źródło podaje np. aż 189 haseł dotyczących słów: „bieda”, „bledak”, „biedny”. Kultura ludowa natomiast nie rozwijała kategorii przyszłości. Dlatego też podkreślam tę zmianę warunków stawianych kandydatom do małżeństwa, która nie na tym polega, że nie bierze się pod uwagę sytuacji materialnej pretendenta, lecz na tym, że rozważa się wiele różnych czynników, określających kandydata, i widzi się go w rozwoju. Zmiana ta osłabiła wyprawę sformułowaną w rodzaju: „Nie ma wdzięku bez brzęku”. „Panna bez posagu, jak koń bez ogona”, „Choćby koza biała, byle posag mia-

ła” itp. i przyniosła nowe sentencje, jak np. ta, przywieziona z badanej miejscowości: „Suknię skróć ku wiosnie, chłopca bierz, co rośnie”. Podobnej rady dla chłopców nie znalazłem.

L.G.: — Czy przewiduje Pan, że proces powstawania przysłów będzie się nadal dynamicznie rozwijał?

F.W.M.: — Trudno tu być optymistą, przede wszystkim dlatego, że dla powstania choćby najprostszego aforyzmu jakaś prawidłowość musi trwać dość długo lub działać z wielką siłą na wyobraźnię ludzi. A nim się przyjmie — musi wejść w tradycję kulturową środowisk lub całego społeczeństwa. Tymczasem dla naszych dni charakterystyczne jest szybkie tempo i pośpiech. Szuka się więc namiastek przyszłości, jakimi są myśli nieuczestne Jerzego Leca lub rysunki z podpisami Szymona Kobylńskiego w „Polityce”. Może któreś staną się przysłówami, ale ich założeniem jest aktualność w określonym czasie. Nasza rzeczywistość jest rzeczywistością wielkiej organizacji i systemów społecznych, które w sprawach społeczno-zawodowych nie kierują się wzorami utrwalałymi w przysłówiach, ale swoje bieżące zalecenia ujmują w instrukcje i zarządzenia, zaś zarządzenia i normy najtrwalsze — w ustawy i przepisy prawa. W sferze życia pozazawodowego wiele rzeczy szybko i dynamicznie reguluje moda, która — podobnie jak przysłówia — jest współczesną formą obyczaju. Od klasycznych form obyczaju moda różni się tym, że nie wymaga aprobaty tradycji, lecz na odwrót: sama narzuca opinii społecznej przejściowe i zmienne normy postępowania, usankcjonowane bezpośrednio przez tzw. dyktatorów mody, czyli, w ostatecznej instancji, przez wielkie systemy społeczne. Jej dużym plusem jest to, że względnie tanim kosztem zaspokaja masowe aspiracje do nowoczesności.

L.G.: — Chyba jednak nie wszystkie?

F.W.M.: — Oczywiście. Moda dotyczy z reguły spraw społecznie nieco mniej doniosłych, choć jej ogólny wydzźwięk może kształtować określone społeczne postawy. Nie chciałbym jednak być zrozumiany jako ten, który przeciwstawia obyczaje (także wyrażone w przysłówiach) modzie. Oba zjawiska dobrze się wzajemnie uzupełniają we współczesnym świecie. Moda jest dzieckiem dynamiki; raz ustalone obyczaje ulegają bardzo powolnym zmianom. W tym też tkwi szansa i rola przysłów jako obyczajowej formy ujmowania norm postępowania. Wprawdzie powoli wchodzi w życie, ale gdy się utrwała w świadomości ludzi — długo określają poglądy względem celów wartych zachodu, wzorów sukcesu oraz kodeksu moralnego, ustalającego sposoby osiągnięcia sukcesu przez uczciwego człowieka. Ten względny konserwaryzm obyczajów (także wyrażony w przysłówiach) sprawia, że we współczesnym, zapędzonym społeczeństwie pełnią one jakby rolę terapeutyczną i stabilizującą. Gdy wszystko dookoła się zmienia, wtedy trzeba nam czegoś trwałego. Ale w wielu sprawach codziennych, nadal postępuje się — w granicach rodziny, wsi i gospodarstwa — zgodnie z mądrościami ludowymi, sformułowanymi dawniej lub obecnie.

L.G.: — Jaki więc wyrok naszych czasów na przysłówia?

F.W.M.: — Całkiem niespodziewany. Życie rozstrzygnie.

L.G.: — Serdecznie dziękuję za rozmowę.

PS. W rozmowie z prof. Franciszkiem Wiktorem Mleczką, zamieszczonej w 12 numerze „Kontaktów”, w odpowiedzi na pierwsze pytanie wkraśl się błąd. Niżej przytaczamy prawidłowo brzmiącą odpowiedź: „W miarę rozwoju nauk o społeczeństwie, przysłówia przekształcały się w mądrości ludów, albo środowisk plebejskich, które bądź to nie rozumiały naukowych uogólnień, bądź nie chciały z jakichś względów ich rozumieć.”

obyczaje

O d czasu do czasu ktoś się żeni, i wtedy wszyscy zastanawiają się głośno, czy panna młoda warta jest nowo poślubionego. Czasami ktoś się rodzi lub umiera, a każde takie zdarzenie daje wszystkim mieszkańcom małą chwilę na filozoficzną kontemplację: nad życiem — własnym i cudzym.

Małe miasteczko to dobre miejsce i punkt odniesienia do filozofii i filozofowania. W małym wówczas miasteczku o nazwie Królewiec, nie opuszczając go nawet na chwilę, Immanuel Kant napisał „Krytykę czystego rozumu” — pracę, która w dziejach filozofii odegrała taką samą rolę, jak prace Kopernika w astronomii.

Można więc bez końca głosić chwałę małego miasteczka nad rzeczką, za ślicznym ryneczkiem i zabytkowym kościółkiem w samym środku. Jest to nawet zgodne z karyksami światowej mody, z raportami rzymskimi i całym ruchem ochrony naturalnego środowiska, ze wszystkimi poglądami — tak dzisiaj aktywnych — przeciwników bezdusznego postępu, którzy z czołówek gazet po obu stronach oceanów krzyczą, że mało znaczy: piękne.

Bez wątpienia więc można ją głosić, ale tak pełne zachwytu i uwielbienia spojrzenie na małe miasteczko jest punktem widzenia filozofa jedynie, a i to nie bardzo materialistycznego. Ileż to bowiem razy do redakcji dużych i małych pism przychodziły z tych małych, ślicznych miasteczek pięknej treści listy, z odpisami do władz najwyższych, a przez ludzi zupełnie zdesperowanych adresowane także do ONZ-u, do Trybuny Sprawiedliwości w Hadze, ewentualnie do Angeli Davis.

W pięknych listach nie było poezji, sielanki i chwytających za serce opisów przyrody. Pisali młodzi inżynierowie po studiach, których wykończono już w pierwszym dniu pracy na prowincji, bo spróbowali naruszyć obowiązujące układy. Pisali dyrektorzy upadających pegeerów, bezradni, gdy wszyscy naokoło kradli i nie im nie można było zrobić, bo w okolicy „same szwagry”, a na dokładkę „kum” na wojewódzkim stole. Kiedyś napisała nauczycielka o tym, jak to jej wybijano szyby w schludnym domu i grożono podpaleniem za to tylko, że w obliczu dobrze zorganizowanej inkwizycji nie chciała się wyprzeć przekonania, iż człowiek — mimo wszystko — jednak od małpy...

Różni ludzie pisali, w różnym wieku i różnych zawodów. Wszystkie piękne listy łączyło jedno — przesłanie, takie mianowicie, że prowincja to rzecz straszna. Na prowincję nie ma silnych ani mądrych. Z prowincji do sprawiedliwości daleko, czasem dalej niż sto wiorst.

Reporterzy dobrze znają tę drugą, wykrzywioną w szczerbatym uśmiechu twarz prowincji: ironiczne oblicza miasteczkowych notabli, poklepujących po plecach i szepejących wyrozumiale: „Pisz pan, pisz, a i tak to, co napiszesz, do gminy wróci”. Reporterzy pamiętają długie wieczorne rozmowy przy szczelnie zasłoniętych oknach, gdy zastrachany człowiek biagał o dyskrekcję: „Pam wrędzię, a ja tu zostaję...”

Reporterzy znają wielu wspaniałych ludzi, którzy usiłowali podnosić z gnoju zapuszczone pegeery; uczyli dzieci w nie opalanych szkołach i leczyli takich pacjentów, których nikt wcześniej leczyć nie miał zamiaru. Czynień dobre, a potraktowani zostali źle. Prowincja ich wygnana — albo dlatego, że mówili „nie!”, kiedy kazano im robić rzeczy idiotyczne, albo dlatego, że mówili po prostu prawdę, która godziła w powiatową czy nawet gminną tylko rację stanu, obłożoną w ciało i duszę miejscowego Boha i Cara.

Ludzie, którzy nie dawali sobie rady z prowincjonalną racją stanu, nie wpadali w panikę, nie strzelali sobie w łeb. Zbierali życiowe doświadczenia, kończyli własne uniwersytety konformizmu i świętego spokoju. Pracują dziś w dużych miastach, gdzie powietrze podłe i rzeczka zatruta ściekiem przemysłowym, ale łatwiej zmienić pracę, a po racy wrócić do domu, w którym

niekoniecznie trzeba znać sąsiada. Już im dobrze, już zarabiają godziwie, już się nie wstydzą chałtur ani prywatnej praktyki. Są cynikami, a może jedynie realistami. Wtopili się w beziemienny pejzaż wielkiego miasta i już nie warto pisać o nich interwencyjnych raporty.

Więc jednak uciekli. Inni — ci, co zostali — trochę się zmienili. Nie tylko oni; sytuacja się zmieniła. Nie ma już pojęcia „powiatowa racja stanu”, bowiem zlikwidowano powiaty. Może być dzisiaj gminna racja stanu, może być racja stanu bez żadnych przymiotników, może być także wojewódzka. Czy — po tych wszystkich zmianach i rozsadach — pozostała prowincjonalna racja stanu?

W Goniądzu, na skraju województwa łomżyńskiego, u schyłku burzliwych lat siedemdziesiątych, wydarzył się wypadek drogowy. Samochód poturbował dziewczynkę. Wydzwoniono po karetkę pogotowia ratunkowego w Mońkach, bo najbliżej, raptem dwaście kilometrów. Ale Mońki odmówiły. Zanim przyjechała karetka z Grajewa (sześćdziesiąt kilo-

wych. Kiedy zapotrzebowanie na u-powszechnianie kultury zmalało, szkołę rozwiązano, uczennice poszły w świat, a nauczyciele w odstawkę — z sześciomiesięczną odprawą.

Medycynę wybrała, jak mówi, z potrzeby serca; to coś, co jest w środku w człowieku, podpowiadało wybór. Pół roku przygotowywała się do egzaminu, w przerwach robiła korekty książek — to wówczas, kiedy przejadła już nauzczyelską odprawę. Na egzaminie dziekan spytał uprzejmie: „A ileż to dziewczę ma lat?” Miała dwadzieścia dziewięć, ale bardzo pragnęła zostać lekarzem. Była, oczywiście, najstarsza w grupie i budziła respekt. No i ogromnie angażowała się społecznie — taki nawyk z zetempowskich czasów. Sekretarzowała studenckiej POP, kierowała chórem akademickim, pomagała w studiowaniu mężowi. Po sześciu latach medycyny wróciła do Goniądza.

Inna była niż dawniej: przy kości, energiczna, na dodatek partyjna. chociaż ksiądz Potocki, który miał już lat prawie pięćdziesiąt, dobrze pamiętał, że mama Sobotkowska wychowywała córkę w miłości do Boga.



racje stanu

JANUSZ ATLAS ANDRZEJ ZAWISZA

metrów jazdy po dziurawych drogach, w organizmie dziewczynki nastąpiły nieodwracalne zmiany. Przeżyła wypadek, ale została kaleką.

Mońki odmówiły pomocy, bo są białostockie. Grajewa odmówić nie mogło, bo jest łomżyńskie. Starły się w bezwzględny boj dwie wojewódzkie racje stanu. Na polu bitwy pozostał kadłub dziecka — dziewczynce odjęto rękę i nogę. Bezmiar głupoty jest prowincji ósmym grzechem głównym.

W Goniądzu, w domu z ogródkiem, mieszka kobieta, która jest prowincji grzechem dwiema. Doktor Zyta Sobotko-Lebek pokazuje prowincji zwierciadło, które straszy odbiciem szczerbatego uśmiechu.

Znali ją tu wszyscy, kiedy była dzieckiem i po wojnie do szkoły w Białymstoku wyjeżdżała, ale mało kto wierzył, by kiedykolwiek jeszcze do rodzinnego domu miała wrócić. Nie wierzyła pewnie i ona sama, gdyż kraj leżał w gruzach i potrzebował ludzi młodych. Czasy były trudne, ale piękne. ZMW uczył walki, ZMP wierności ideałom: trzeba uczyć się i pracować ku chwałę ojczyzny, trzeba niszczyć stonkę i protestować przeciwko imperialistycznej napaści na Koreę.

Kiedy umarł Stalin, płakała cały dzień. Bo jak żyć, jak dać radę, jak obrać właściwą drogę? Już pierwszy krok był fałszywy. Na egzaminach wstępnych na Akademię Wychowania Fizycznego, po sprawdzianie pchnięcia kulą, komisja lekarska wypchnęła ją za bramę. Dostała się na polonistykę, ukończyła w terminie. Prace magisterską poświęciła życiu i twórczości Marii Konopnickiej — pisarki najbliższej młodzieńczemu ideałom. Nastąpił czas, w których nie dokonywało się wyborów: było się wybieranym. Dwa lata nauczwała w Ełku, w Supraślu prowadziła lekcje życia. Była tam taka dziwna szkoła — liceum inżynierskie — kulturamno-owsiawo-

Trzy lata doktor Zyta Sobotko-Lebek obchodziła Goniądza i okolice, zanim poznała wszystkich swoich pacjentów. Dzieci odbierała i stawiała bańki, świado-mego macierzyństwa uczyła, po nocach do wykopów wpadała, a raz, po spotkaniu ze wściekłym psem, ledwie z życiem uszła. Z płaszcza zostali strzępy.

Kiedy urodziła drugą córkę i niedługo potem rozwiodła się z mężem, ksiądz Potocki miał już lat pięćdziesiąt pięć i z każdym rokiem więcej. Parafia też leczyła się u Lebkowej, bo — po pierwsze — umiała wyleczyć, a po drugie — bez wstydu wchodziła do kościoła na ślub czy pogrzeb, czyli jak każdy w Goniądzu, postępowała zgodnie ze starym obyczajem.

W tym czasie, staraniem miejscowej ludności, został pobudowany piętrowy budynek przychodni i ośrodka zdrowia, w którym doktor Sobotko-Lebek objęła stanowisko kierownicze. Gabinety i poczekalnie urządzone zostały na parterze, a na pięterku — pomieszczenia mieszkalne.

Wedle planu gospodarzy, w trzy-pokojowym mieszkaniu miało się osiedlić lekarskie małżeństwo, a w mniejszym, dwupokojowym, przewidziano przychodnię dziecięcą. Władza powiatowa (Mońki, a jakże!) całkiem inne obmyśliła dla izb tych przeznaczenie. W dużym mieszkaniu naczelnik nowo mianowany miał się zadowozić, a małżeństwo w małym, zaś przychodni dla dzieci nie miało być wcale. Zanim pieczęć władza na drzwiach umieściła, aby naczelnikowskiej kwatery nikt nie ruszył, lekarze zamieszkali w trzech pokojach i w przychodni pojawili się dzieci. Powiat przymusową eksmisję zarządził, o zwolnienie Lebkowej z funkcji kierowniczej zabiegał i do milicji zwrócił się o pomoc. Posterunek w Goniądzu wtargnął na teren ośrodka odmówił, a przybyłe posiłki z powiatu uniemożliwiła miasteczkowa społeczność. A-

kurat fabryka miotł ogłaszała padłość, i w całym miasteczku różni na kiju łatwiej było niż sztachetę w płocie. Wobec takiej sytuacji naczelnik z mieszkaniem piętrze goniądzkiego ośrodka zrygnował.

Z winnymi jednak trzeba się było przeciw rozliczyć. Dlaczego przywództwo w buncie oskarżono doktor Lebkową — zgadnąć nie trudno. Od dawna wiadomo było, że całym Goniądzu ona właśnie najgłośniejszą i w ogóle jakby najmniej bojącą. Z tych też powodów wyprawdzenie kierowniczki z ośrodka powiat postanowił, więc nie osobiście, lecz przy pomocy urzędowych pism. Pierwsze pismo bawiło Lebkową funkcji kierowniczej, drugie informowało o udzieleniu przez komisję dyscyplinarną upomnienia. Równocześnie zatrudniony w ośrodku lekarz stomatolog Piotr Ramotowski, otrzymał propozycję objęcia funkcji kierownika. Doktor Ramotowski odmówił, przyczyną co najmniej kilkudziesięciu, z których najważniejszą była taka, że sam również maczał palec w buncie ośrodka i całkowicie zdał się z wszystkimi decyzjami Zyty Sobotko-Lebkowej. Kierowniczka pozostała na stanowisku, chociaż przez wiele jeszcze lat (ksiądz Potocki dobiegał setki) w oficjalnych pismach nikt jej nie tytułował. Władza obraziła się na Lebkową za to, że całą, być może nawet słuszną, akcję przeprowadzała bez konsultacji ze zwierzchnością, w konsekwencji doszło do demotracji. A przecież przyjechali w swoim czasie wolą wysłannicy Moniek, żeby obejrzeć na miejscu, co i jak; czy przychodzi dzieciom naprawdę taka niezbędna i czy rodzina lekarska naprawdę potrzebuje do życia aż trzech pokoiów. Delegacja szybko musiała zawrócić, gdyż zaraz po Goniądzu rozstrząsała się wieść o jej przyjeździe tłum z miotłami wybrał swoich przedstawicieli na rozmowę z władzą. A władza przecież nie mogła dopuścić, by rozmawiano z nią o pozycji siły.

Kiedy nastąpiła reforma administracji, wszystkie dawne żądania odsunęto precz. Tak się przynajmniej mogło wydawać. Na strzecie urodziny ksiądz Potocki go zjechał do Goniądza arcybiskup, sześciu biskupów, wszyscy okoliczni księża i siostrzyczki także. Solenizant czuł się krzepko, więc zaimponować wszystkim, wybrał się na okolicznościowy spacer. Ale zsiadł. Kiedy go wrzeszczą dźwięki, trzymające pod rece, dwa silni parafianie, doktor Lebkowa udzieliła niezbędnej pomocy, po czym wyszła się głęboko nad całym swoim życiem, a własnym mieszkaniem na Ziemi w szeregach. Najlepiej pomyślała o mamie, której do śmierci przykro było, że — mimo jej starań — córka się w dorogach jej wiary w Boga wyżyła: potę — optymistycznie — o księdzu Potockim: nie jest jeszcze tak bardzo źle, skoro pomoc od partii przyjął z wdzięcznością. W tym czasie kolejni Zyta Sobotko-Lebek pomyślała o partii i o partyjnych. Teraz lezbę członków podaje się w milionach, to jest wielka siła; ale w latach pięćdziesiątych — całkiem inaczej było. Przynależność do partii wymagała pracy, poświęcenia, i tego partia każdego rozliczała surowo.

Lebkowa rozliczona została z swej postawy członka partii dopiero w roku 1979, ale surowo. Podporządkowała się decyzji Komisji Kontroli, chociaż na spotkaniach, czy potraktowano ją sprawiedliwie. Kierowniczką ośrodka zdrowia nie ma pretensji do partii za tę naganną, co najwyżej do tych kilku partyjnych, którzy przed nią wyższymi instancjami wykładali swoje racje. Jej argumenty energicznie spychając w cień. Kiedy pojechała na ostatnią rozmowę do KC, do Warszawy, po drugiej stronie stołu siedzieli ludzie, o których nie wiedziała. Nie znała drogi tych towarzyszy, ich życiowych doświadczeń, ich zdania na temat wielu spraw codziennej partyjnej praktyki. Ci towarzysze też niewiele wiedzieli o niej — o latach nauczycielskiej tułaczki, o studiach i towarzyszącej im nienowności, o zrobieniu dobrze, czy sobie, czy trzypięcioletniemu absolwentowi akademii medycznej — ma umysł równie obłony, jak młodszy o dziesięć dwa lata.





W piątnickim GOK-u nie można już ani grać w tenisa (choć zawodnicy tej dyscypliny awansowali ostatnio do wyższej grupy), ani urządzać dyskotek (bo zdarzył się na jednej z nich mały łomot). Placówka ta powoli przeistacza się w salę obrad, gdzie dyskursywnie kształtowany jest model piątnickiej kultury.

Od roku po starej szkole w Małym Płocku kręci się dwóch osobników w dzień i po kilku — w nocy. Remont w nim nie posuwa się do przodu o żadnej z tych pór doby, więc może są to zaplanowani tu przedszkolacy, których rodzice zgodzili się na zastane warunki? Żeby podobnie (beznakładowo) udało się zagospodarować pozostałe, puste obecnie, szkoły w tej i wielu innych gminach!

Na sztab budowy patronackiego (ZSMP, Zambrowska Spółdzielnia Mieszkaniowa) bloku w Zambrowie składa się trzynaście osób. Nawet gdyby się udało zebrać ich choć raz jednocześnie w jedno miejsce, to i tak nie podniosą leżącego na placu budowy dźwigu, który powinien już od roku ustawić kilka ścian na fundamentach. Złośliwi mówią, że przyczyną zastoju jest albo nadmiar sztabowców, albo patronów.

GOK w Sokolach funkcjonował w br. przez niecałe trzy miesiące, wyłącznie opierając się na — organizowanych przez Ochotniczą Straż Pożarną — dyskotekach, która to OSP w dziwny sposób weszła w posiadanie GOK-owskiego sprzętu grającego. Trzeci z kolei dyrektor placówki tłumaczy jej niemrawość — podobnie jak poprzednicy — brakiem funduszy i instruktorów. Co za choroba?! Czy obecnie rzeczywiście bez instruktora nie można założyć nawet kółka filatelistycznego (nie mówiąc już choćby o klubie dobrej książki)?

Osobliwa autostrada przebiega przez wieś Rowy (gmina Łomża): miast zieleni — pasy jezdni dzieli rząd słupów telefonicznych. Chodnik przetkany słupami służy pijackom w trąfianiu do rodzinnych domostw; ciekawe, jakie zastosowanie znajdują władze gminne temu oryginalnemu rozwiązaniu ruchu drogowego, bowiem wygodą kierowców, jako argument, nie przekonuje.

Proszę, jaki kombinat usługowy. Brakuje zaledwie kilku branż, czyli artykułów perfumeryjnych i medykamentów, które można by zaanonować informacją: „Golimy, strzyżemy i rwiemy zęby”.



ich skarg, potrzebują kogoś takiego, jak pani Zyta. Czują się wtedy silni i odważni; potrafią złapać za miotłę albo uformować się w delegację i pojechać do Warszawy, mimo że to sto wiorst, a ich inwestycja w sprawiedliwość wynosi kilkaset złotych i na ogół procentu nie przynosi, może natomiast przynieść straty; nie tylko materialne.

Pani Zyta podoba się im i trochę imponuje, bo jeśli miejscowa władza zachowała się po kaprałsku, umiała też władzy powiedzieć jak sierzant, używając nawet wojskowego słownictwa. Poza tym lekarka, owszem, dostała nagany, ostrzeżenia, nawet z pracy ją zwolniono na chwilę, ale ciągle jest na tym samym stanowisku. A kto pamięta o tych ludziach z powiatu, którzy z panią doktor wojowali? Reforma administracji zmioła ich z kart powiatowej historii. Wbrew regule — nie awansowali do województwa, tulali się przez czas jakiś po powiecie, potem zniknęli i dziś już nikt nawet nie zna ich nazwisk.

Pani Zyta jedną sprawę załatwiła drugą przegrała. Kto wie, czy nie na tym polega salomonowa racja stanu prowincji. Owszem, można raz komuś przyznać rację, nawet jeżeli trochę za głośno wykrzykuje na całą Polskę swoje „nie”, ale przyznawanie takimi komuś racji ciągle — zdaniem miejscowych Salomonów — przyczyniłyby się mogło wyłącznie do warcholstwa albo czegoś gorszego jeszcze.

Ludzie, którzy udzielali nagany doktor Lebkowej, też mieli swoje racje. Dyrektor szkoły, którego broniła, po pierwsze — sam zrezygnował, po drugie — w przypływie desperacji rzucił na stół partyjna legitymacja. Organizacja opiera się na zasadzie dobrowolności. Dla organizacji ważniejszy był desperacki gest dyrektora niż jego świetlana przeszłość. Z punktu widzenia swoich racji — organizacja partyjna postąpiła według reguł, jakie w niej obowiązują.

Jest takie, może niezbyt mądre, ale dość prawdziwe przysłowie: „Gdzie drwa rąba, tam wióry leżą”. Poleciały wióry i w tej sprawie. Starły się racje wielu interesów, rozdzwoniły się telefony, przyjeżdżały wołgi, jeździły delegacje do Warszawy, zajęło to sporo czasu kilkudziesięciu ludziom, i w końcu coś się udało załatwić, coś nie, a pewne jest tylko jedno: każda ze stron uczestniczących w tym starciu racji wyszła z niego z niechlubnym guzem. A że z największym wyszły z tego osoby najprzystojniejsze? Może właśnie tu kryje się odpowiedź na pytanie o rację stanu prowincji.

Być może (a nawet na pewno) gdyby sprawa odbywała się w samym centrum ośrodków dyspozycyjnych i gdyby zaangażowali się w nią ludzie nieskazitelni i nieomylni (przyjmijmy dla uproszczenia, że tacy istnieją), to wynik byłby zupełnie inny: pani Zyta dostalaby medal za odwagę, a dyrektor zostałby, w nagrodę, przeniesiony do pracy w ministerstwie. Ale nieomylność jest fikcją i dopóki nią będzie (a będzie do końca świata), potrzebni będą tacy ludzie — i trzeba głosić ich chwałę — jak Zyta Sobotko-Lebek. Władza ma prawo popełniać błędy, ale wtedy potrzebny jest człowiek, który potrafiłby jak najgłośniej — żeby go daleko usłyszano — krzyknąć: „nie!”.

Taki człowiek potrzebny jest nie tylko krzywdzonym ludziom, ale głównie władzy, by mogła naprawić błąd popełniony przez swojego, nie najlepszego, przedstawiciela. Władza może takim ludziom, jak Lebkowa, dawać nagany za złamanie pewnych form organizacyjnego postępowania, ale dobrze wie o tym, że są oni potrzebni, a w chwilach naprawdy ważnych — na nich właśnie można naprawdę liczyć.

Siedzimy z doktor Lebkową w jej domku, ślicznym, wychuchanym, z konwaliai i malwami przed oknem. Obok, w komórcie, stoi dorobek życia pani Zyty — fiat 126p. Ma rok i 800 kilometrów na liczniku. Pani Zyta boi się jeździć. Boi się, że będzie jakaś katastrofa i ona wpadnie na kogoś albo ktoś na nią. Poza tym nie boi się niczego.

II nagroda w Łomżyńskim Konkursie na reportaż pod hasłem: „5 lat po reformie”. Pisane w maju br.

wy, do ministerstwa. Póki co, protesty pozostawały bez odpowiedzi.

Pierwszy nie wytrzymał nerwowo dyrektor Szakalnicki, który postanowił złożyć legitymację partyjną. Ten gest wykraczał już poza granice zdrowego rozsądku. Był po prostu odruchem człowieka do granic zdesperowanego. Po kilku miesiącach Jan Szakalnicki w ogóle wycofał się z zawodu i przeszedł na rentę. Zanim to jeszcze uczynił, przeżył chwile upokorzeń, kiedy kolegi nie rozpatrywano jego ponad piętnastoletnie rządy w goniądzkiej szkole. Ponoć niesprawiedliwie rozdysponował mieszkania służbowe, ponoć się szarogęsił, ponoć...

Kiedy kolejna delegacja z Goniądza pojechała do Ciechanowca, do nowo mianowanego dyrektora liceum rolniczego, żeby go odwieść od zamiaru objęcia „majątku” — po Szakalnickim, co się, oczywiście, nie udało, władza wojewódzka zareagowała ostro. Do miasteczka na sesję wyjazdową udał się zespół Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Zyta Sobotko-Lebek została ukarana naganą z ostrzeżeniem za brak dyscypliny, czyli organizowanie zebrań i wycieczek protestacyjnych.

Lebkowa odwołała się do Warszawy, do CKKP. Z pisma o naganiu zniknęło słowo: „ostrzeżenie”. Lekarka osiągnęła sukces co najmniej dyskusyjny, jeśli w ogóle zmniejszenie kary można uznawać za sukces.

Doktor Zyta Sobotko-Lebkowa jest rozgoryczona. Powodem goryczy jest bezradność. Oto mija właśnie piętnaście lat od dnia jej powrotu do Goniądza. W ciągu tego długiego czasu osiągnęła niewątpliwie sukces zawodowy. Jest lekarzem dobrym i potrzebnym; jest

Towarzysze całej jej życie znali z akt teatru personalnej i z opinii wojewódzkiej władzy. Opinie zarządcy doktor Zyta Sobotko-Lebek, co w języku rosyjskim nazywa się „mieszaniem”. I to była prawda; nieże w ciągu ostatnich dwóch lat „zamieszalała” w Goniądzu. Pytanie jedynie — co było intencją jej wszystkich działań?

Goniądz jest schludnym, maleńkim miasteczkiem, w którym po obu stronach brukowanych uliczek stoją ładnie utrzymane domki, z kwiatkami pelargoniami w oknach, z kwiatkami, szczyptką i szalwią w ogródkach. W tych domkach żyją cisi, skromni i pracowici ludzie, którym niejednokrotnie doktor Lebkowa ratowała zdrowie. W tym samym Goniądzu mieszka człowiek, który zbudował dom duży, z większym ogrodem i tysiącem innych szczegółów. Nazywa się on Jan Szakalnicki i do niedawna był dyrektorem, jedynym w miasteczku, Liceum Ogólnokształcącego. Dyrektor Szakalnicki jest człowiekiem samotnym — całe jego dorosłe życie wypełniała szkoła. On to spowodował, że pracowała goniądzka społeczność wybudowała piękny gmach Liceum, i on wyprosił w Kuratorium, w wojewódzkich urzędach i komitetach środki, dzięki którym udało się umebłować osiem pracowni, jakimi trudno się poszczycić niejednej stołecznej szkole. Jan Szakalnicki żył szkołą i dla szkoły, ale przypuszczając, że to, co dlań jedynie ważne, zostanie mu odebrane.

W połowie roku 1978 Kuratorium w Łomży rozpoczęło przygotowania do wydania decyzji o przeniesieniu Liceum. Ogólnokształcącego w Goniądzu na liceum rolnicze. Wstępny sondaż wykazał bezzasad-



ność decyzji. Za dawnym profilem szkoły opowiedziało się dwudziestu rodziców uczniów klasy maturalnej, specjalizacja rolnicza zainteresowanych było sześciu.

Doktor Zyta Sobotko-Lebek losami szkoły zainteresowana była podwójnie: raz — jako matka uczennicy Liceum, dwa — jako lekarz szkolny. Na pierwszym zebraniu, z udziałem przedstawicieli Kuratorium, zdecydowanie sprzeciwiła się projektowi decyzji. W Goniądzu szkoła rolnicza jest niepotrzebna; tym profilem nauki nie są zainteresowani ani uczniowie, ani rodzice. Nadto szkoła taka nie będzie mieć niezbędnego zaplecza. Na tej ziemi brak tradycji, rolnictwo nie ma osiągnąć, a oddalony o osiem kilometrów pegeer może służyć za przykład tego, jak pracować na roli nie należy.

Zebrań zakreślono bez wniosków. Wysłannicy Kuratorium nie powiedzieli, czy dali się przekonać; nie powiedzieli też, że argumenty miasteczkowej społeczności są marne. Sprawa została zawieszona. Aliści w końcu września, po rozpoczęciu roku szkolnego, gdy zajęcia były już w pełnym toku, decyzja zapadła. Natychmiast dyrektor Szakalnicki podał się do dymisji, na znak protestu — rzecz jasna. Kuratorium nie poznało się na tej subtilności i rezygnację dyrektora skwapliwie przyjęło. Wtedy do natury ruszyła doktor Lebkowa. Zwołano zebranie, podczas którego goniądzanie stanowczo zaprotestowali przeciw decyzji. Wysłano pismo do władz wojewódzkich i centralnych, zbierano podpisy. Delegacja, z Lebkową na czele, pojechała do Łomży, a po jakimś czasie, w innym składzie, do Warsza-

czowiekiem cieszącym się szacunkiem i zaufaniem chyba wszystkich w siednietysięcznym miasteczku. Ale za opłotkami Goniądza owo zaufanie się kończy. Okazuje się, że jest ona jedynie babą-dziwo, krzykliwą obronczynią spraw niesłusznych, skoro — w konsekwencji — przegranych. Wier może po prostu źle myśli? Jeśli tak, jej życie codzienne powinno być pasmem nie kończących się uderk. Lecz nie jest. Wprost przeciwnie; nie wygląda na osobę znerwicowaną, nie widać u niej rezygnacji czy pogodzenia się z losem. Jeżeli jutro w okolicy wydarzy się znowu coś, co wymagałoby ruszenia w bój, ruszy natychmiast, nie zastanawiając się nad tym, że w jej wieku jest to naprawdę niezdrowe, a poza tym — jako już karana organizacyjnie — może, przez każde następne „przewinienie”, narazić się na odebranie biletu partyjnego, na którym jej naprawdę zależy. Lubi miasteczko, w którym mieszka, zna każdego obywatela gminy — w większości to bardzo porządni ludzie. Ale ludzie ci, jak we wszystkich porządnym i schludnym małych miasteczkach, już są tacy, że nawet jeśli stanie się komuś krzywda, wydadzą niesprawiedliwość, draństwo — pięć razy się zastanowią, zanim głośno, sami z siebie, powiedzą: „nie”. Będą szmerać pod nosem i kłać po cichu w domu, u siebie, ale gdy tylko przyjdą do urzędu z czerwoną tabliczką przy wejściu, już w progu zdejmą czapkę i pokłonią się nisko. Skąd się to bierze? Może z carskich czasów jeszcze, bo był tu zabór rosyjski.

Ludzie, którzy — sami o sobie mówią — „nie potrafią się wyrazić” i nie umieją przełać na papier swo-



Samotność wśród obcych mebli. Zbyt daleko już zaszedł, by mógł się cofnąć. Człowiek przestaje być sobą, gdy staje wobec kobiety. Nie chce się bronić. Pozostawia losowi — co: siebie, godność, własną miłość?

Kolacja i służąca z tacą. Maria opowiadała o przygodzie na Rivierze, gdy do jej pokoju w hotelu wszedł młody, nieznaną człowiek, pocałował ją, a ona zemdlala.

— Nawet nie wiem, co się potem stało.

— Obudziłaś się bez majtek?

— Ordynarny jesteś. Miałam na sobie szlafrok.

— To zmienia sytuację.

— Zbyt dużo wypieś.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, dlaczego myślał o meblach. W pokoju nie było ani tapczanu, ani koczki, tylko klubowe fotele, stolik, półki z książkami, bluszcz rozpięty nad oknem, zmęczona palma, ilustrowane pisma zagraniczne.

— Należy wskoczyć do rzeki, by móc ją przepłynąć — powiedział bez związku, jakby między nim a Marią nie było żadnego kontaktu.

— Miłość traktujesz podobnie?

— Słowa tylko wtedy coś znaczą, gdy stają się wiarygodne. Kochałem cię, Mario, i dlatego tak trudno mi być twoim kochankiem.

— Zaufaj?

— Tak.

Milczeli. A potem wstał, pożegnał się i wyszedł. Nad miastem świecił księżyc, błady i nieruchomy.

wet Irenie potrafiła pomóc.

— Co o niej sądzisz?

— O Irenie?

— Nie, Halinie.

— Przyzwoita dziewczyna.

— Nic mi to nie mówi. Dlaczego wyparła się brata?

— Nie prosił jej o radę, ona go również. Nie ma sprawy.

— A dla mnie jest. Między nami i podobnymi jej ludźmi jest przepaść.

— Przepaść? Jaka?

— Rewolucji, klasy robotniczej.

— Jest jeszcze naród.

— Zaścianek, szlachetczyzna, zacofanie, brak horyzontów.

— Bzdura. Ludzie, wydarzenia, przychodzą i odchodzą, naród zostaje.

— Pokretny jesteś, Adam, Antek zawsze mówił, że źle skończysz. Tylko Władek miał do ciebie słabość.

— Zdarza się. Nie ma to nic wspólnego z klasą robotniczą.

Roześmiał się. Echo grzmotu umknęło doliną.

— Patrz, nadciągają dziewczyny.

— Psiakrew. Komu w drogę, temu czas.

Kiedyś Adam zapytał Jolę, jak znosi pryncypia Janka.

— Wcale nie znoszę. Lubie go, jest porządny i uparty. Nie miał kindersztuby i pokrywa własne kompleksy pozorami tupetu. Nigdy mi nie powiedział dobrego słowa, nawet w czasie miłości. Unika rozmowy. Wstydzi się słów, równie jak czynów. Pacjent dla twojej Haliny.

— Zdradzałaś go?

— Nie. Wychowałam się w kirsze, i chociaż mam to już za sobą, obowiązuje mnie czystość obyczajów.

— Samogwałt?

— Świnia jesteś. Zocha jest święta?

— Tylko mądra. Mam prosty rozsadek, którego zabrakło Stachowi.

— Mylisz się. Nigdy cię nikt nie

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

10

ROZDZIAŁ

Targowiak spędził lato z Zochą w Pieninach. Mieszkali w Sromowcach Niżnych u bogatego gospodarza, który poił ich mlekiem, karmił serami i baraniną. Krzewy zaglądały im do okien, osłaniały przed słońcem. Na ganku rosły winogrona, dzikie i nie-dojrzałe.

Czasami chodzili łowić pstragi — z Jankiem i Jolą; Stach, opuszczony przez Orłowską, został w Rosochatych Nartułach. Na zakręcie przed załomem Dunajca tkwił w korycie w Sromowcach Wyższych wysoki kamień. Można było wokół niego pływać i opalać się na skale. Po czeskiej stronie był płaski brzeg.

Pewnego dnia wybrali się wzgórzami do Szczawnicy. Upał zapowiadał burzę. Trudno było iść, ciągle ktoś zostawał.

— Nie czujesz się zmęczony? — zapytał Adama Nidziński.

— W Szczawnicy czeka nas pilzneńskie piwo.

— Pytam, czy nie jesteś znużony?

— Nie.

— A ja tak. Nie mogę żyć bez miasta, ruchu, organizacji.

— Odpoczywam. Przestaję myśleć.

— Antek Boniecki będzie miał w jesieni sprawę.

— Duży mu grozi wyrok?

— Trzy, cztery lata. Po sprawie wyjdzie za kaucję. Ojciec go wykupi. Dla honoru domu.

— Janka z tym bankierem wyjechała do Hiszpanii. Żal mi Szymkowiaka. Nie umie się pocieszyć.

— Chłopski mazgaj. Orłowska z nudów bawiła się z nami i ze Stachem. Antek nienawidził ojca i nawet z siostrą nie mógł się ułożyć.

— Dla Haliny lepiej.

— Co lepiej?

— Że ma ją gdzieś.

— Niby dlaczego?

— Upiekło się jej w pracy. Na-

pokocha. Ceni się cudzą lojalność i możliwość obdarzenia zaufaniem.

— Właściwie tak, lecz życie jest inne.

— To już zależy od ciebie.

Na ostatnie dwa tygodnie lata Adam z Zochą wyjechali do Tupadeli. Mieszkali u kaszubskich rybaków, kąpać się chodzili do Jastrzębiej Góry. Janek z Jolą udali się do Bukowiny, aby powłóczyć się po Tatrach. Jastrzębia Góra ma wysoki brzeg. Ogromne głazy leżą w piachu razem z ludźmi. Morze nie bywa spokojne. Pieni się, tłucze łbem aż pod morską latarnią w Rozewiu. Słońce w sierpniu szybko chyli się ku zachodowi, chmury i wieje zachodni wiatr. W takie dni Adam z Zochą robili wycieczki na Żarnowieckie jezioro, które kryło ich przed sztormem w sitowiu. Raz wybrali się do Władysławowa i tam spotkali Halinę.

Zbliżał się wieczór, zaszli do pobliskiej knajpki na węgorka i wędzone fladry. Halina nie miała najlepszych wiadomości w sprawie brata. Wyrok był pewny. Gdyby nie przekroczył trzech lat, istniała szansa zwolnienia do apelacji za kaucją. Boniecki, choć wymierzony, trzymał się twardo i nic nie wskazywało na to, aby Antek miał zamiar wycofać się z dalszej działalności.

Adam milczał, Zocha dziwiła się, że sprawę poglądów można traktować jak przetarg na wolność. Halina przerwała niecierpliwie: — Nudzą mnie wasze problemy. Nic się z nimi nie kryje, poza własnymi ambicjami. Nieszczęście chodzi za ludźmi bez względu na ustrój; człowiek mierzy swoje życie od wypadku do wypadku. Nikt Antkowi nie kazał być komunistą, sam chciał i teraz ma za swoje.

— Nie proszę cię o pomoc — odcięła się Zocha.

— Mimo wszystko jest moim bratem. Zajdziemy do mnie? Stąd niedaleko.

Chałupa stała prawie nad morzem. Na kółkach suszyły się sieci. Stara Kaszubka, siedząc na przyzbie, przebierała kartofle. Halina mieszkała skromnie, lecz czysto.

— Sama jesteś? — indagowała Zocha, gdy spoczęli na ławie, opie-

rając się o kilimek na ścianie.

— To zależy. Teraz, na przykład, jestem z wami. Wyjdę coś kupić na kolację.

— Zostaw to mnie — zerwała się Zocha — musimy i dla siebie coś dostać.

— Nigdy nie zajdziesz tu — powiedziała Halina po wyjściu Zochy — nie jestem przecież zadżumiona.

— Sądzilem, że po zatrzymaniu Antka nie zależy ci na kontaktach ze mną.

— I tak, i nie. Brakowało mi naszej przyjaźni, sporów, nieporozumień. Życie jest szare, spotkania wprowadzają nie prowadzą do niczego, lecz ułatwiają istnienie. Psychiatria mnie absorbuje, lecz rozmija

się z praktyką, czasami sama z sobą. Są kraje, w których można mieć przekonania, działać; u nas czego nie dotkniesz, umiera. Broniałam się przed politycznym samobójstwem, ale sama nie wiem, po co?

— Wpadnę do ciebie w Warszawie. Zocha wraca ze sklepu.

Było już prawie ciemno, gdy Adam z Zochą wysiedli w Jastrzębiej Górze i skierowali się przez las do Tupadeli. W ciszy nocy i w szumie morza milczenie jest rozmową.

Reprodukcje Ryszarda Piechocińskiego



ZWROT NACZYŃ

Małgorzata Szejnert wydała w „Pojezierzu” tom reportaży pod wielomówiącym tytułem „I niespokojnie, tu i tam”. Tu, gdzie książkę kupiłem i przeczytałem, na południowym wschodzie kraju, jest spokojnie. Tam, gdzie toczy się akcja reportażu i siedzą w swoich fotelach czytelnicy tych zdań, a więc na północnym wschodzie kraju, też już spokojnie. A pani Szejnert imputuje nam jakiś niepokój. Dlaczego?

Oto reportaż tytułowy: opisanie wędrownego teatru Ewy Benesz. Autorka jeździ z teatrem na wozie od wsi do wsi i notuje zjawisko, jakie mieszkańcy Łomżyńskiego nie przeczuwali nawet dotąd. Obie panie, Ewa i Małgorzata, dumają nad jednym: jak znaleźć wzorzec nawiązania kontaktu. Jak mówić do ludzi, aby ich otworzyć i wyzwolić z przyciasnych gaci kompleksów?

Okazuje się, że pomysł Ewy Benesz nie został zaakceptowany — nie miał szans na przetrwanie. Dlaczego? „Nacięli się na nas. Chcą mieć teatr zawodowy, ze sceną, nazwiskami, plakatami. Oni nam wymówią”. Kto wymówił Ewie Benesz? Odpowiedź: „Wymówił jej władze miasta i województwa łomżyńskiego” — byłaby zbyt uproszczona i niesprawiedliwa.

Ewie Benesz wymówił przed wszystkimi kompleks. Ten kompleks, który nie pozwala prowincji być partnerem nieprovincji; który każe budować w wielu miastach wojewódzkich amfiteatry-symbole, stadiony-symbole i podświetlone pomniki-symbole z wodotryskiem, podczas gdy miasta te nie mają porządnego szpitala, żłobków i przedszkoli, a komunikację obsługuje kilka zdezelowanych puszek po konserwach. Symbole jednak upodobniają do sto-

licy, blichtr i drogi efekt dodają poczucia siły, pewności siebie, a nad wszystkim — poczucia stałości istniejących struktur. Z prowincji posuwają o wymagany krocze ku nieprovincji, ku wielkiemu światu.

Tylko że nikt nie wie, gdzie ta „nieprovincja” leży. Jaka to ziemia obiecana naszej krainy, jaka Patagonia, jaka Atlantyda? Warszawa? Jakże ona prowincjonalna i niemądra w swym zadufaniu we własną europejskość. A problemy jakie w tej Warszawie? Większe niż w Łomży czy Słupsku? Jaką skalą je mierzyć?

Słucham w radiu wywiadu z Polonskim. Mówi ten człowiek kultury, i ponoć kulturalny, że właśnie wrócił z występów „w jakichś Jasłach, Krosnach, Sanokach”. W „ja-

brykną stąd, bo tu żyć nie można. A mizantropia młodości, na której kraj nasz wesprzeć ma się?

W Sanoku wchodzi do kawiarni, w drzwiach widzę znajomą twarz: pytam, czy tej twarzy nie widywałem w Lublinie. A jakże, dziewczyna studiowała w Akademii Medycznej. Pierwsze jej zdanie po pięciu latach: „Co tu robisz? Bo ja tu tylko na razie, no, wiesz, tak się złożyło, ale za Boga tu nie zostanie”. Jest lekarzem. Do licha, gdzie lekarz powinien obrastać w piórka, jak nie na prowincji? W przepelnionym mieście, w którym walka o etaty wre?

Modne ostatnio zdanie: „błędy naszej polityki gospodarczej i społecznej” — zdaje się być diagnozą tego schorzenia, jakie pali wewnętrzną kraja. Prowincja zwija się w kon-

tylko spokojnie

kimś” Przeworsku też koncertował i jest bardzo tym znużony. Na pewno Olimpia dałaby mu satysfakcję, ale w Przeworsku i Sanoku występował. Ubolewa nad tym, choć sam tam prosił, bo żyje z tych koncertów, jak na razie, a nie z koncertów w Olimpi. Skąd u takiego prowincjonalnego odśpiewywanca aż takie poczucie wyższości nad tą prowincją? Z warszawskiego podwórka, i z naszego podwórka także.

Gdybyśmy umieli patrzeć na siebie z boku, spoza naszych wizerunków, wykreowanych przez nas i na nasz użytek tylko — bo nie pożytek, o nie... Megalomania piosenkarzy? A małomiasteczkowych decydentów? W rozmowach zastrzegają się w pierwszym zdaniu, że oni nie chcieli, że tylko przejściowo, że ich tu skierowano i postawiono, no to stoją, ale jak się tylko zrobi okazja,

wulsjach kompleksów, a procesy wymiotne opróżniają jej brzuch z najlepszych ludzi, którzy na „nieprovincji” przestają być nawet dobrzy, bo ulegają — z kolei — kompleksowi, jaki trawi stolicę: kompleksowi nieustannego braku spełnienia wyobrażeń o statusie wielkiego świata. Ludzi w gminnych i licznych wojewódzkich urzędach można usprawiedliwiać brakiem rozeznania w terenie, do którego trafili przypadkiem, centralnie rozdysponowani, w wyniku czego nie są z nim powiązani urodzeniem ani sentymentem, a przez to — nie znają go. Ale muszą nim kierować, bo taki ich zawód. Kierują więc — i kreują obcy sobie pejzaż na swoją modłę, na swój gust, nie wszędzie dobry, według własnych wyobrażeń, nie zawsze popartych wyobraźnią.

Temu brakowi wyobraźni trzeba

przypisać niedostatek żłobków i szpitali w nowych miastach wojewódzkich — z równoczesnym nadmiarem amfiteatrów, stadionów, biurowców ze szkła i aluminium oraz podświetlanych fontann z marmuru naprzeciw tych biurowców.

W sierpniu przejechałem dwukrotnie Polskę z północy na południe, odwiedziłem siedem województw — i strach mnie zdjął, i zdumienie zrazu, a potem śmiech serdeczny mną miotał, ilekroć pytałem przechodniów o kolejne dzwony budowlane, o tony cementu zmarnowane, o deficytowe towary zmarnowane, o miliony deficytowe utopione — w głupstwach, w ewidentnych bzdurach, w niepotrzebnych inwestycjach; albo w inwestycjach bardzo potrzebnych, tyle że przed dwudziestu laty. I zastanawiałem się długo, gdzie leży przyczyna tego kociokwiku inwestycyjnego, tego bezholowia organizacyjnego, tej martwości wyobraźni i braku gospodarności. Obie leży ona w braku zorientowania prowincji w tym, co ważne, a co nieważne, słowem — w kompleksie, powstałym w wyniku niedostatecznych wiadomości, jakimi karmiono prowincję i jakich jej wzbraniało.

Po strajkach w całym kraju wielu ludzi na wielu odpowiedzialnych za kształt kraju stanowiskach przetrzało. Wielu jednak nadal nie chce widzieć i nie chce niczego wiedzieć. Tak im wygodnie, bo obudowali się szczelnym pancernem samozadowolenia, zatrzasnęli się na klamry kompleksów — i trwają w przeswiadczeniu, że zmiany te naruszają „nieprovincję”, a oni, na prowincji, przetrzymują się szczęśliwie.

Ja myślę, że zima tego roku będzie dla nich sroga.

TARGOWIAK

ZIELE ANGIELSKIE

ELŻBIETA

Elżbieta, Bietka, Elka i Ela

Poszły, by szukać gniazda

chruściela.

Znalazły gniazdo, a w nim pięć

jajek.

Jedno zabrały i poszły dalej.

LIMERYK

Raz pewien łagodny starzec

Uczył sówki, jak herbatę parzyć.

Mówił: „Dzieci, nie jedzcie myszy,

bo to nie jest sposób najwłaściwszy,

Żeby w domu dobrze gospodarzyć”.

Tłum. ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

refleksje

Rysunek Antoniego Kowalskiego



Wśród rozważań na tematy moralne zastanawiająco często pojawia się słowo „intuicja”, pojmowane jako ostateczne kryterium zrozumienia dobra i zła. Zdaniem wielu znawców — intuicja moralna bardziej zbliża ludzi do siebie niż ich różni. Powiadają więc, że mamy mniej więcej podobne przeczuć dotyczące norm i ocen moralnych; że zbliżone są nasze rozeznanie co do ludzkich możliwości w obszarze wartości moralnych; że na ogół tego samego oczekujemy, czy nawet żądamy, od swoich bliźnich.

Miedzy takimi elementarnymi intuicjami moralnymi znajdziemy i tę oczywistość, zgodnie z którą dobro wymuszone traci swą wartość. Jest to może jeszcze dobro, ale jakby inne, „mniejsze” od tego, które dokonało się w sposób naturalny, bez jakiegokolwiek presji. Jeśli więc za postawę godną aprobaty uznamy nierozwiązalność, to przecież jakaś najgłębsza świadomość moralna każe nam odróżnić postawę nierozwiązalną, biorącą się z braku szans na rozwiązanie, od takiej, która jest następstwem świadomego, niewymuszonego wyboru postępowania. Efekt niby ten sam: i tu, i tam jakaś osoba szanuje się nadzwyczajnie i nie sposób wziąć jej na języki — lecz dręczy przecież jakaś ważna różnica. Jedną z tych osób uczyniła ze swego ograniczenia cnotę, z którą się teraz dumnie obnosi, lecz brak nam pewności co do jej postawy w

przyszłości, np. po wizycie u dobrej wróżki, kosmetyczki, albo po napotkaniu partnera o dziwnych upodobaniach estetycznych. Podobnie ma się rzecz z czyjąś wiernością, gdy towarzyszy jej policyjny nadzór (nie zdradza, bo nie może zdradzić), albo z czyjąś działalnością filantropijno-społeczną, jeśli jest ona warunkiem awansu zawodowego.

Z niemożności czynić powinność znacząco unicestwia wszelką — nie tylko moralną — możliwość. Byłaby to afirmacja naiwnego realizmu, mieszającego porządek bytu i porządek powinności. Rzeczywistość „jaka jest” wywołuje tu jeśli nie prostoduszny zachwyt,

jest obiektywny, bo to w ogóle niemożliwe, w związku z czym wcale się tego nie wstydi. Z niemożności obiektywnego wyrażenia świata czyni się tu zasadę, co w przedstawionym przypadku jest sytuacją dość dwuznaczną. Oczekiwania moje są w tej mierze dokładnie odwrotne: chciałbym, by (w miarę możliwości) informowano mnie w TV obiektywnie o zjawiskach świata stanowiących moją współczesność — nawet wtedy, gdy wiem, że z przyczyn oczywistych nie będzie to informacja obiektywna w stu procentach. Wnętrze psychiczne człowieka opisującego postrzeganą rzeczywistość interesowałoby może psychologa (też

runkowania wszelkiego ludzkiego poznania, traktując się je jako coś obiektywnego w swej istocie, gdzie umysł poznający wypelnia się treściami istniejącymi „naprawdę” (obiektywnie). Jeśli mówię o kimś, że jest taki a taki, to przecież nie stwarzam tych cech swoim mówieniem; raczej nazywam tylko to, co realnie istnieje (choć mogę się, rzecz prosta, mylić). To prawda, że mógłbym nie wyrażać swego sądu, zwłaszcza tam, gdzie widzę cechy rzadko uznawane za pozytywne, lecz przecież milczenie moje nie by nie mogło i niczego by nie zmieniło: ktoś ze swoimi cechami istniałby po prostu. Oto sens obiektywności mego widzenia świata, nie kreowanego w samym tym spojrzeniu.

Ale takie rozważania to już metafizyka, z którą niekoniecznie musimy nawiązywać kontakt, tym bardziej, że rozważań znajdziemy wiele i wstydkie, o dziwo, dobrze uzasadnione. Lepiej więc wrócić do naszych potocznych, niezłomnych intuicji i przeświadczeń moralnych, wskazujących, że ułomność — jaka jest niezbyt doskonała (bo ludzkie) malowanie otaczających nas zjawisk — gdy podnieść ją do rangi zasady i powinności, przestaje być ułomnością, z której, jako z braku, zdajemy sobie sprawę. Garb staje się cnotą.

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

cnota i garb

to w każdym razie aprobatę mało refleksyjną i — w gruncie rzeczy — dość wygodną na co dzień. Słyszemy wtedy najpierw „jest, jak jest”, potem: „dobrze jest, jak jest”, i wreszcie „ma być, jak jest”.

Niedobrze, jeśli opisanej wyżej pokusie ulega ktoś, kto z racji swego usytuowania społecznego winien ożywiać myślenie bardziej rozległe aniżeli to, jakie cechuje wygodnego realiste. Niedawno przeprowadzono w „ITD” rozmowę ze znanym prezydentem i komentatorem DTV, byłym korespondentem zagranicznym telewizji. Człowiek ten dość otwarcie wyznaje, że jako dziennikarz nie

pewnie nie zawsze; mnie natomiast interesuje świat, który dziennikarz ma mi zrelacjonować. Prawda, że naturalne ograniczenia władz poznawczych człowieka powodują jego subiektywne i niepełne widzenie świata, lecz nie ma co z tymi ograniczeniami przesadzać. Nie ma też powodu, by codziennie nasze działania wypełniać, bez żadnego uzasadnienia, pomysłami tak „niepraktycznymi”, jak filozoficzne.

Istnieją wszak, gdyby upierać się przy uzasadnieniach filozoficznych, orientacje obiektywistyczne; wśród nich jest marksizm. Tu właśnie, bez gubienia faktu subiektywnego uwa-



Mgr inż. Gwidon Kondratowicz w domu jest potulny jak baranek. — Ale za to w pracy rozpycham się bezceremonialnie; gdy trzeba, to i łokcie się w robocie. W instytucji walczę o swój kawałek chleba, ale mnie się zdaje, że metodami godnymi. A jak oceniają to moi oponenci, nie wiem.

— Ma pan oponentów?
— Kto ich nie ma? Ja nigdy nie przypuszczałem, że trzeba aż dwudziestu lat, żeby wreszcie móc narzucić innym swoją wolę, w swojej dziedzinie rządząc.

— Ma pan taką ochotę?
— Od początku ja miałem. A skąd ona się brała? Już na politechnice moja pozycja była niezachwiana. Także w pracy; stosunkowo wcześniej, bo w roku 1965, wygrałem w swojej dziedzinie ogólnokrajowy konkurs, zdobywając pięć nagród.

Pierwszej nie przyznano, z trzech drugich wziąłem dwie i z czterech trzecich trzy! To też w pewnym sensie wbiło mnie w dumę. No, patrzcie — chciało się powiedzieć — patrzcie, ja jestem najlepszy. Jeżeli tak, to ja jestem panu słuchać. Ale to jest tylko moje przekonanie, natomiast doprowadzenie do tego, żeby mnie rzeczywiście słuchano, jest całkiem inną, trudną sprawą. A w przemyśle odgrywa to ważną rolę. Bo jeżeli w jakiejś dziedzinie ktoś jest niekwestionowanym autorytetem, wtedy szybko może w niej zaprowadzić porządek. Zawsze chciałem być inżynierem, od małego. Ojciec mnie namawiał na agronoma, ponieważ sam był rolnikiem z kwalifikacjami.

Twierdził, że to taki przyjemny zawód: ptaki śpiewają, dobre powietrze, przyroda. Ale mnie imponowała technika. W bardzo młodym wieku dostałem się na studia, ukończyłem politechnikę nie otrzymując ani jednej czwórki. Takich było trzech na pięć tysięcy studentów.

— A czym teraz się pan zajmuje?
— Jestem kierownikiem działu urządzeń odpylania i odpopielniania w Zakładach Pomiarowo-Badawczych „Energopomiar” w Gliwicach. Mówiąc krótko: my jesteśmy dla urządzeń tym, czym lekarz jest dla ludzi. A ja, czy raczej dział, którym kieruję, zajmuje się urządzeniami do odpylania spalin i odprowadzaniem wyciekających pyłów. Od 1962 roku biorę udział w obradach RWPG i nawet kilkakrotnie wybierano mnie koordynatorem problemu. W tej dziedzinie pozycja „Energopomiaru” jest wysoko oceniana. Nie mogę powiedzieć, że to wyłącznie moja zasługa. Jest to w końcu dorobek wielu lat i większej liczby osób. No, jeżeli jest już miejsce na pochwalenie się, ostatecznie satysfakcję mnie osobistą sprawiło to, że sprzedaliśmy licencję i to nie Murzynom do Afryki, lecz do NRD. To już jest coś.

— Pracą dydaktyczną interesuje się pan?
— Nie. Wielokrotnie proponowano mi wykłady, ale nie mam na to czasu, i jakoś mnie to nie bawi.

— Czy ma pan własne patenty lub jakieś osiągnięcia o charakterze naukowym?
— A owszem, cztery patenty. Prace naukowe, moje własne i współpracowników, mówiąc krótko, w szafie zajmują dwie długie półki. Łącznie jest około stu pozycji. Nazbierało się tego przez dwadzieścia lat dosyć dużo. Mówili mi profesorem na politechnice, że tych moich prac na dziesięć doktoratów wystarczy. Po prostu nie wiem, jak w ogóle doktora tu nie robić.

— Czy to jest słuszną decyzją?
— Uważam, że słuszną. Bo albo się prowadzi walkę konkurencyjną z oponentami i chce się tę walkę wygrać, albo się robi doktorat. Robienie doktoratu oznacza usunięcie się z areny efektywnej walki na co najmniej trzy lata. A wypadnięcie na tak długi czas z „interesu”, oznacza definitywne odejście na boczny tor. Doktorat jest, moim zdaniem, czymś raczej prywatnym. To jest jakaś tam gotowość, którą człowiek ambitny chce mieć, ale pracy nie ułatwia. Wypaść z walki jest bardzo łatwo. U nas w kraju do podgryzania autorytetu chętnych jest bardzo dużo. Uważa się już nawet, że to normalne. A mnie nie z tego nie przyjdzie, jeżeli do swego nazwiska zaczął dodawać to „dr.”. Już nie mówię o „prof. dr hab. inż.” — bo mam i takich kolegów, z czterema tytułami pod ręką. Tak się jednak składa, że nie znam ani jednego człowieka, który mając te wszystkie tytuły, równocześnie

zajmuje dominującą pozycję w swojej branży. To jest możliwe na politechnice, gdzie można się ograniczyć do zajęć dydaktycznych i, ułożonej w grafik, działalności naukowej. W przemyśle trzeba w swej dziedzinie natychmiast reagować na wszystko, co przynosi życie. Ja nie wymyślam zagadnień, to one mnie zaskakują. I dla mnie jest satysfakcją, że przez dwadzieścia lat pracy zawodowej nie zdarzyło się, żeby wpłynął do mnie jakiś problem i żebym ja go nie potrafił rozwiązać.

Jeżeli w jakiejś elektrowni coś się stało i jest unieruchomiona, to tyś, a czasem i dwa tysiące ludzi czeka i patrzy na mnie, obserwuje, czy ja sobie poradzę, czy nie. Człowiek czuje się wtedy ubrany w taką odpowiedzialność, że o niczym innym, o żadnym tam doktoracie, nie potrafi myśleć. Wydaje mi się, że ludzie na ogół unikają odpowiedzialności.

Przekonałem się wiele razy, że jeżeli trzeba podjąć jakiś ogromny problem techniczny, i do jego rozwiązania startują dziesiątki osób, to wiem, że ja pierwszy, przed wszystkimi, muszę coś wymyślić, takie są bowiem prawa wojny konkurencyjnej. U nas się nieraz mówi, że tej konkurencji nie ma. Nieprawda. Ona jest, tylko może nie rzuca się w oczy. Ile razy zdarza się tak, że kierownictwo jakiejś elektrowni proponuje kilku osobom równocześnie, by przedstawiły swoje propozycje, a potem wybiera kilka wariantów rozwiązania jakiegoś problemu i każe realizować projekty. Ja już miałem w swojej praktyce taką sytuację, że pięciu stanęło w szranki, wszyscy się wywrócili, jak to się mówi, na twarz, wówczas plac boju był czysty, a mój pomysł został wdrożony.

— Więc nie stanowisko jest czymś najważniejszym?
— Chyba ważne są pieniądze, przy czym dla mnie ważny jest sposób ich zdobywania. Na przykład cieszyłbym się, gdybym mógł je zdobyć w wyniku zgłoszenia patentów, opracowania wynalazków, wzorów użytkowych, gdyby one przysły jako skutek mojego uczestnictwa w

wytoczyć różne elementy i szybko całość zmontować. W normalnym trybie, stosując się do systemu obowiązujących zaleceń, na załatwienie prostych spraw trzeba miesięcy. Jest kolejka, gdzieś tam się wytworzyło tzw. wąskie gardło, przepychają się jeden przed drugim, jak to zwykle w życiu bywa, w ten sposób czas zjeżdża na jakieś prowizoryczne, byle jakie łatanie. Ot, powiażali sznurkami i jakoś leci. Pracuję przy tym dodatkowo stu ludzi, żeby te — tak w przenośni mówiąc — stale rwące się sznurki podtrzymać. To są problemy, z którymi ja na co dzień walcę, i one są dla mnie najważniejsze. Młody, początkujący inżynier zgłasza, na przykład, wniosek racjonalizatorski lub patent. Opiniują ten projekt ludzie starsi, specjaliści. Oni najczęściej, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, rwą to i wrzucają do kosza, szybko i gładko uzasadniając, że jest to bzdura nie mająca najmniejszego sensu. Przed laty uważałem, że warto się w hierarchii wybić tak wysoko, by nie mieć nad sobą osoby, która mogłaby zlekceważyć moją pracę i podrzeć dokumentację mojego wynalazku. Pewnie dlatego marzyłem o zdobyciu wysokiego stanowiska. No, chociażby: dyrektor naczelny. Ładnie to brzmi, nie? A w tej chwili przestałem już o tym marzyć.

— Więc nie stanowisko jest czymś najważniejszym?
— Chyba ważne są pieniądze, przy czym dla mnie ważny jest sposób ich zdobywania. Na przykład cieszyłbym się, gdybym mógł je zdobyć w wyniku zgłoszenia patentów, opracowania wynalazków, wzorów użytkowych, gdyby one przysły jako skutek mojego uczestnictwa w

moja przesadna, wygórowana ambicja, ale do tej pory, jak ja już w zawody stałem, muszę wygrać! Ale to mnie kosztuje. Zresztą nie tylko względy ambicjonalne wchodzą tu w grę: i na kalkulację jest miejsce. Po prostu liczę, że wygrana raz, drugi, trzeci, zaowocuje w końcu i da mi jakąś pozycję nadrzędną we współzawodnictwie z moimi rywalami, a ta zdobyta pozycja pozwoli mi w przyszłości odzyskać wyłożone pieniądze.

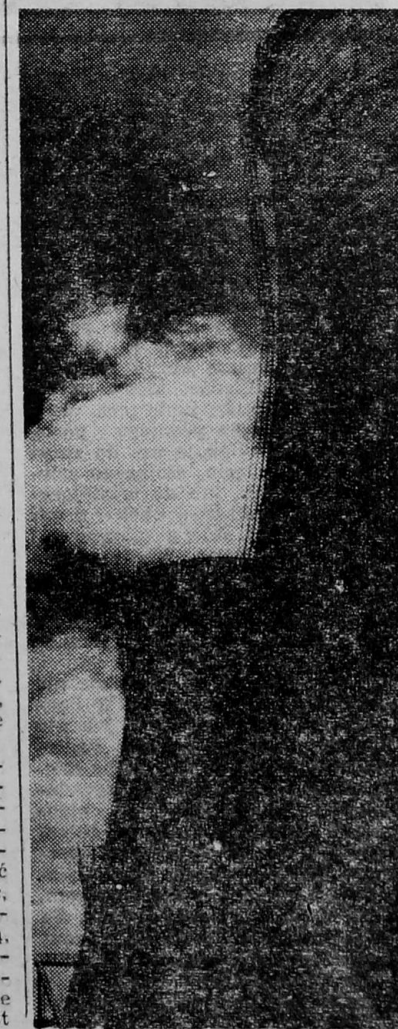
— Jednym słowem: pieniądze są ważne, ale ich zdobycie to stroma droga na szklaną górę?

— Właśnie tak: stroma droga na szklaną górę. Może mi się to wszystko nie opłaca, może mi to wszystko przypadnie w diabły. Całkiem możliwe, że element walki: „wygram lub nie wygram”, element tego ryzyka stanowi treść i sens mego istnienia. Ale o pieniądzach muszę przynajmniej mówić, inaczej żona by mnie z domu wyrzuciła. Bo przecież ona wie, że ja rozdaję te pieniądze. „No dobrze — mówię, gdy robi mi wymówki — ja dałem trzy tysiące złotych, ale ja trzynastą zarobię na tym”. Żona jest realistką, więc pyta: „Kiedy, kochany?” „Za dwa lata” — odpowiadam. Marzę, że to będzie za pięć, a zdaję sobie sprawę, że może za dziesięć.

Do czego dążę, o co walczę i nawet w biatykę się niejednokrotnie wdaję, żeby móc trudną rzecz zrealizować? Dla niektórych fachowców jest to całkiem niezrozumiałe. Wielu z daleka widzi, co jest trudne, i od razu się ustawia jak najdalej od tej sprawy. Żony takich chwala: „O, proszę popatrzeć — powiada — zdrów jest, dobrze zarabia, wszystko ma”. I to już jest pewnie kwestia sprytu życiowego, tak się urządzić, by uciec od wszystkich kłopotów i komplikacji, zajmować się tylko tym, co łatwe, efektywne i przyjemne. To już pewnie tkwi w człowieku. Jeden lubi być tam, gdzie jest niebezpiecznie, gdzie ciężko, i taki, nawet jak go trzymają, tam się właśnie rwie; innego wszyscy ponaglają, obstawiają z każdej strony, nakierowują, a on i tak każdą najdrobniejszą sprawę wypatrzy, żeby z zastawionej nań pułapki się wyszłiznąć.

Ja jestem ryzykantem i nie na to nie poradzę. Mnie ryzyko pociąga i bawi. Ja muszę wciąż sprawdzać: wyjdzie czy nie wyjdzie, będzie coś z tego czy nie będzie? To po prostu gra, męskie zajęcie!

Reportaż był emitowany w III programie Polskiego Radia.
FOT. GABOR LÖRINCZY



męskie zajęcie

ALICJA MACIEJOWSKA
BRONISŁAW SALUDA

Mamy w kraju wielką liczbę elektrowni, emitują one ogromne ilości pyłów. Wystarczy wspomnieć, że w samej energetyce rocznie wytapujemy dwadzieścia milionów ton pyłów. I z tą astronomiczną masą odpadów trzeba coś zrobić. A to nie tylko pyły; coraz inne problemy wyskakuja do tu, to tam! I trzeba się decydować: zakasujesz bracie, rękawy i bierzesz się do tej konkretnej roboty albo siadasz za biurkiem i dufiesz doktorat. Może i są tacy geniusze, że potrafią równocześnie jedno i drugie robić, ja, niestety, nie! Poza tym, w moim rozumieniu, byłoby to działanie pozorne. Jak wspominałem, wielu moich kolegów ma tytuły naukowe, ale równocześnie są oni na bocznych torach. Nie mają żadnego wpływu na decyzje w swojej dziedzinie. A gdy trzeba coś wykonać operatywnie, to oni proponują kompleksowe badania. Po trzech latach będą wyniki, a potem opracuje się wnioski. To na tyle czasu unieruchomimy elektrownię? U nas w przemyśle nie ma miejsca na wyszukana elegancję i celebrowanie. Tu się wszystko dzieje z drżeniem rąk.

Widzę, że także w technice jest szerokie pole pozornych działań. Organizuje się olbrzymie sympozja, krajowe i zagraniczne. Delegacje, kilkadziesiąt referatów, tydzień obrad. A jak to wszystko ścisnąć i popatrzyć, co pozostanie — to nie ma nie! W imię czego ta niepotrzebna krzątania? Życie trwa za krótko!

Przed nami w przemyśle stoją zawsze tylko dwie możliwości: potrafisz czy nie potrafisz tego zrobić. Co jest potrzebne w moim przypadku, abym mógł skutecznie działać? Mam raczej małe wymagania, ale ich realizacja w obowiązujących systemach jest bardzo trudna. Ja muszę mieć do własnej dyspozycji parę ciężarówek, kilku spawaczy, parę dodatkowych obrabiarek. To są dla mnie obecnie najważniejsze problemy.

Skoro działamy metodą prób, to nie wystarczy mieć pomysły. Pomysłów to ja mogę mieć sto. Liczy się tylko pomysł sprawdzony. Muszę zrobić szybko próbę, jakiś prototyp, zbudować małą, prostą maszynę. Biuro konstrukcyjne mam dobrze zorganizowane. Dokumentację mi wykonują natychmiast. Aby szybko ściągnąć materiał, muszę mieć do dyspozycji transport. Trzeba z tego materiału

trudnych, skomplikowanych przedsięwzięciach. Pieniądze są ważne, bo widzę, że one pomagają mi zwiększyć skuteczność mojego działania. W pracy trudności się piętrzą jedna nad drugą, i żeby przezwyciężyć to wszystko, nieraz trzeba sięgnąć po pieniądze nawet do własnego portfela. Często jest to jedyna realna droga przezwyciężenia napotkanych kłopotów.

— Pan mówi: wyciągam portfel. Chyba nie na łapówki pan te pieniądze rozdaje?

— Nie na łapówki. Broń Boże! Nigdy! Ja po prostu płacę za robotę. Ludzie u nas pracy mają potąd. We wszystkich elektrowniach jest stan notorycznej awarii, jedna goni drugą. Cały personel jest zaangażowany w usuwaniu uszkodzeń. Tu nie ma luzu. By wywiązać się z nałożonych obowiązków, można, oczywiście, zwracać się do ministrów, ale do nich apelują tysiące ludzi. Oni nie mają czasu na to reagować. Ja nie mogę liczyć na skuteczność mojej interwencji na tak wysokim szczeblu. I na miejscu, u dyrektora elektrowni, najczęściej niewiele wskoram, mimo że on jest do mnie pozytywnie nastawiony, bo wie, iż ja właśnie jemu chcę pomóc, pracuję na jego własne zlecenie. On to rozumie i często ma jak najlepsze chęci, lecz on nie ma kim mi pomóc. Nie ma kim, nie ma jak albo nie ma czasu, i ja siedział ze swoimi ludźmi cały miesiąc, czekając na zmiłowanie. Gdy widzę, że nie ma innego wyjścia, to idę do spawaczy i mówię: zostańcie po południu na cztery godziny i zróbcie mi to. Oni zostają i robią. Poproszę ciebie: przyjdźcie po południu i postawicie mi rusztowanie. Postawia. Ale trzeba za to zapłacić.

— Tu się jednak coś nie zgadza. Powiada pan: pieniądze są ważne, lecz zamiast je zarabiać, to pan je rozdaje na lewo i prawo.

— To są po prostu moje inwestycje. Ja wydaję moje prywatne pieniądze po to, by rozwiązać jakiś konkretny problem w swojej zawodowej pracy. Skoro administracja działa zbyt słabozarnie, a moje ma być na wierzchu, bo ja chcę zwyciężyć, to nie ma innego wyjścia! Ja składam swoją propozycję, drugi swoją, a ktoś trzeci składa jeszcze inny projekt. Startujemy wszyscy trzej. Żeby wygrać — trzeba dać. A jak nie dam, to nie wygram. Może to jest

1. Wróciliśmy do Henryka. Zaproponował, że pokaże nam miasto, jego ciekawsze zabytki oraz miejsce, w którym za dwa dni miałem podjąć pracę. Obejrzelśmy osiedle Jantar, ulicę Kopernika, Rynek. Nie zauważyliśmy żadnych atrybutów dużego miasta. Rynek mały, zaciszny, zaniedbany; gdzieś tam w bramach, do których nie miałem odwagi wejść, stali Cyganie. Obeszliśmy hałę targową. Henryk zapowiedział, że w przyszłości po dokonaniu niezbędnego remontu, zostanie w niej wytworzone centrum plastyki. Póki co utworzy się w niej poplenerowa wy-

kiego opuszczenia lokalu. Zostawiłmy kawę, nie dojeżdżone ciastko, nie dopite do końca, smętne towarzystwo. Mineliśmy klasztor i zaraz pojawił się przyjemniejszy widok: na szeroko rozlaną Narew. Nie mieliśmy ochoty stąd odchodzić. Kilka tygodni temu na Krzywe Koło trafił Piotr Kuncewicz. I od tej pory ślaga na tę uliczkę wszystkich znających. Uliczka w centrum miasta, tyle tu dostojnej ciszy. Gdyby tak władze miejskie ów rząd kamieniczek zaadoptowały na Dom Środowisk Twórczych! Trudno o lepszą lokalizację.

człowiek, który wraz ze mną oglądał wystawę. Czy tylko tak potrafimy rozumieć sztukę? Ściany w dwóch małych salkach zatłoczone obrazami. Sąsiadują tu z sobą różne style i tendencje współczesnego malarstwa. Zafrapowały mnie obrazy Józefa Zdziecha, Jana Dobkowskiego, Antoniego Kowalskiego oraz młodego artysty z Katowic, Andrzeja Świerczyńskiego. Jan Dobkowski intryguje precyzyjnie prowadzoną linią. W prezentowanych pracach odszedł w znacznym stopniu od erotyki, którą nasyciona jest jego twórczość. Mniej

poufny dziennik bez dat

stawę ceramiki. Zeszliśmy po schodach do kawiarni „Staromiejskiej”. Odurzył nas zapach moczu i piwa, następnie przyprowadził o młodości. Usiedliśmy przy stoliku i zamówiliśmy (niezbyt chętnie) kawę; ale gdy się poznaje miasto, trzeba je poznać ze wszystkich stron, aby wyrobić sobie o nim jakiegokolwiek zdanie. Wygląd miasta, jego lokale, sklepy, ulice — są przecież wizytówką jego gospodarzy. To wygląda jak zaniedbane mieszkanie.

W „Staromiejskiej” można było palić tylko w ubikacji. Piwo sprzedawano bez ograniczeń. Kręciło się tu mnóstwo młodych chłopców i dziewcząt, którzy powinni być w szkole lub pracy.

Mdły zaduch zmusił nas do szyb-

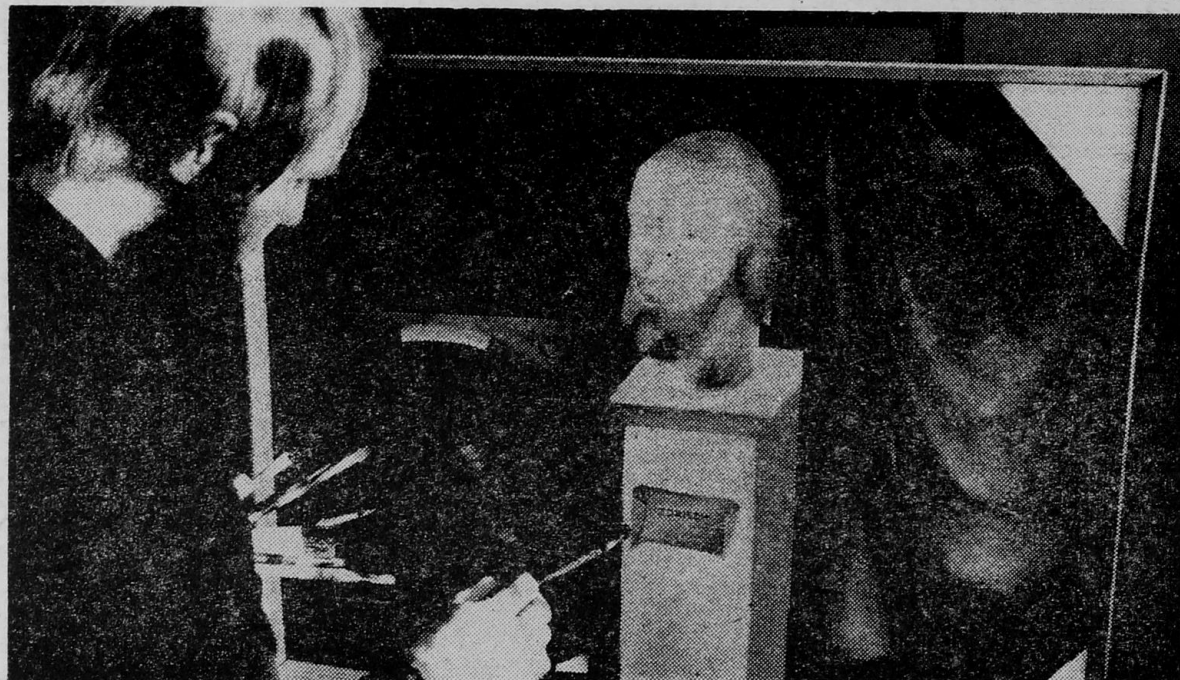
2. Wracam do plenerowej wystawy malarstwa w Szepletowie. Oglądając obrazy zastanawiałem się, na ile dzisiaj sprawdzają się słowa Henri Bergsona: „Między naturą a nami, cóż mówię — między nami a naszą własną świadomością pojawia się zasłona, nieprzejrzyista dla zwykłych ludzi, lekka, niemal przeźroczysta dla artysty i poety”. Czy naprawdę widzimy tylko ograniczoną część rzeczywistości? Czy oko artysty jest sprawniejsze niż nasze? Czy tylko on potrafi dostrzec rzeczy niezwykłe?

— Gdyby nasze krowy wyglądały tak, jak te na obrazach, nie mielibyśmy z nich żadnego pożytku — powiedział pewien wykształcony

w nich (z wyjątkiem może wspomnianej krowy) dosłowności a kreska bardziej zagęszczona. Zdziech natomiast bardziej troszczy się o barwę, wytonowaną, ściszoną. W jego malarstwie za dużo jest symboliki, nie raz tak dosłownej, że drażni swoją nachalnością, ale jest ono dojrzalsze.

W propozycjach Antoniego Kowalskiego kolor jest agresywny i dominuje nad formą. Artysta zaskakuje wprost ogromną wyobraźnią. Obrazy Andrzeja Świerczyńskiego urzekają poetyckością. Autor stworzył w płótnach czarowny świat, którego na co dzień w naszej rzeczywistości nie potrafimy dostrzec.

JAN KULKA



Mam córkę w wieku żłobkowo-przedszkolnym, objawiającą zainteresowanie dla dziewczynki w jej wieku nietypowe, w wyniku czego przepadł mój budzik. Byłoby trudności z wstawaniem, ale mieszkam dokładnie nad sklepem mięsnym, a przed nim już we wczesnych godzinach rannych ustawiają się w kolejce renciści i inwalidki, które swymi dyskusjami podniosłyby z grobu umarłego. Zbierają się tylko w pogodny poranek. Czy znaczy to, że kiedy pada — muszę liczyć tylko na własne siły? Skądże; kiedy zawiodą kumoszki, budzi mnie pies, przyprowadzony przez pewnego poetę. Poeta ów przywiązuje psa do słupa wysokiego napięcia, stojącego opodal na trawniku, lub do wystającego ze ściany żelastwa obok drzwi wejściowych do sklepu mięsnego, i udaje się po zakupy. Wtedy to bydlę zaczyna wyć. Z tęsknoty. Błogosławilibym go za to, ale wyje również w dni beznamiętne, czyli w niedziele, kiedy normalny człowiek chce dłużej pospać.

Nie znaczy to, że w niedzielę nie można kupić mięsa. Można. W konserwach. Półmiesnych albo, jak kto woli, mięsno-warzywnych. Raczej jednak warzywno-mięsnych, bo mięsa tam ślad. Półki sklepów zawalone są różnymi konserwami: bigos domowy, kapusta z kiebasą, gulasz po węgiersku albo w sosie wiejskim, wołowina w sosie musztardowym, ryż z mięsem, kasza z mięsem, klopsiki w sosie musztardowym. Są również konserwy dla dzieci: ragout jarzynowo-mięsny, potrawka cieleca z ryżem i groszkiem, wołowina z mieloną kaszą. Do tego bogaty wy-

bór konserw rybnych, różniących się od siebie tylko ceną, bo dorsz, śledź lub kargulena są identyczne w smaku. W gablotach z wyrobami garmażeryjnymi cieszą wzrok: schab pieczony, gotowane żeberka i golonki, pieczeń rzymska itd. W lodówce różne półfabrykaty: pyzy, hamburgery, gołąbki, fasolka po bretońsku, a także mrożone warzywa i owoce. Na półkach zakupi pełnowartościowe, a na stolikach i przy kasach — również zakupi pełnowartościowe, tyle że przecenione.

Dlaczego więc wszyscy psioczą i narzekają? Dlaczego nie kupują

budzik

pyz, kielbasy z kapustą, zup błyskawicznych i innych potraw, a wolą łamać sobie kości w kolejkach, narażając się na różne, często niewybredne, epitety, padające z ust współkolejkowiczów, a zaś matki decydują się na szczypanie swoich własnych dzieci, aby zmusić je do płaczu i w ten sposób zasłużyć sobie na współczucie, i załatwić zaopatrzenie bez kolejki? Dlatego, że produkowane (marnowane) przez nasz przemysł spożywczy produkty konserwowe są w większości przypadków niejadalne. Kapuśniak z torebki smakuje jak kompot z zgniełego siana, zupka holenderska (!?) przypomina smakiem i wyglądem wywar z pieprzu ziołowego i nadaje się raczej dla chorych na aninę, do dyzenterii jamy ustnej.

pieczarkowa smakuje jak żurek staropolski, a biały barszcz — jak klej bellargot. Nie każdy lubi wołowinę w sosie musztardowym lub chrzanowym, a dzieci trudno zmusić do jedzenia mdłych lub pikantnych potrawek, które należałoby popijać kieliszkiem produktu Polskiego Monopolu Spirytusowego. Nie wszystkie też żóładki trawia schab pieczony i nie każdego stać na kupno gotowanych kości (zeberka) po (ponad)sto złotych za kilogram. Do niedawna kilogram kości kosztował mniej niż butelka coca-coli.

Chętniej kupowaliby (niegdys doskonale i niedrogo) zupy z puszek (na przykład grochówkę lub pomidorową) albo rosół z drobiu w kostkach, a do tego żeberka wędzone z grochem, ewentualnie wieprzowinę lub wołowinę w sosie własnym. Na śniadanko zjadłoby się przysmak śniadaniowy, a przed snem wypilo szklankę słodkiego mleka. Ale przysmaków nie ma, a mleko po całodziennym przechowywaniu w lodówce nie da się przegotować — można je tylko postawić na zsiadłe.

Nie ma amatorów na sprzedawane produkty konserwowe i skoncentrowane w paczkach; tym bardziej nie znajdują się nawet z zapewnieniem: „pełnowartościowe”. Sądzę, że wszystkich zadziwia też nowy obyczaj sprzedawania przecenionej kaszanki i pasztetowej po pięć złotych. Przypuszczam, że nawet ogromne bydlę wzmiankowanego poety tego nie zje, bo wówczas byłoby innym głosem, i to do czasu.

JANUSZ PORĘBSKI

sport

Działacze i kibice, z którymi miałem przyjemność rozmawiać, twierdzą, że pisanie o łomżyńskim sporcie nie ma sensu i szkoda na nie papieru. Nie dlatego, że pisze się nie na temat i bez znajomości realiów, jak to stwierdził w swoim wyjaśnieniu Okręgowy Związek Piłki Nożnej w Łomży — ale dlatego, że nie dociera do tych, do których jest adresowane. Wcale nie jest to dalekie od prawdy, co ze szczerością przyznaje, bo oprócz wspomnianego wyjaśnienia OZPN w Łomży i jednego anonimowego pogróżki pod adresem Wymiatacza, było do redakcji trochę telefonów; w większości przypadków od osób, które uważały, że należałoby je pochwalić.

Oczywiście, wygodnie jest udawać, że to nie ten adres, i czekać, aż sprawa przyschnie. Zwykła grzechność jednak zobowiązuje do udzielenia wyjaśnień, tym bardziej, że mylić się jest sprawą ludzką, a błędy popełniają wszyscy: piszący również, a brak reakcji utwierdza ich w nieomyślności. Biję się w pierś: byłem niekonsekwentny w egzekwowaniu wyjaśnień. Ale przecież do ich formułowania zobowiązuje odpowiednie zarządzenie premiera. Niedobrze się dzieje, że zasada chowania głowy w piasek staje się dość powszechna — w środowisku sportowym także.

Bojącą łomżyńskiego sportu jest także zaopatrzenie klubów w niezbędny sprzęt. W sklepach sportowych, na przykład w Zambrowie, sprzedaje się przynajmniej rowery i sprzęt wędkarski; natomiast w Łomży nawet tego nie uświadczysz. Po zakup sprzętu sportowego pracownicy klubów z Łomżyńskiego muszą jeździć do sąsiadów: w Ostrołęce, Ostrołęckie lub do Warszawy. Ta sama Polska przecież, a Łomżyńskie wydaje się leżeć w granicach innego kraju.

w stylu wolnym

Niedawno pisałem, że drużyna koszykarek ŁKS-u zostanie rozkupiona, i tak się stało. Najzdolniejsze dziewczęta nie stawiały się na treningi. Bez wcześniejszego uzgodnienia z klubem — trzy spośród nich znalazły się w Białymstoku, gdzie (jak wiecie niesie) zapewniono im miejsca w internacie i treningi w „Wiśniarzu”. Czysta partyzantka. Trener Dytkowski twierdzi, że klub nie udzieli zawodniczkom zwolnienia i przez dwa lata nie będą mogły występować, bo regulamin przewiduje, że z drużyny może odejść tylko jedna, np. w tym roku tylko jedna zawodniczka odejdzie do klubu warszawskiego. Dziwię się, że taki stary wyjadacz, jak trener Dytkowski, wierzy w moc regulaminów, ponieważ praktyka uczy, że te obowiązują tylko małuczkich. Ponieważ jednak sprawę sygnalizowałem wcześniej, ośmielałem się pytać nasze władze sportowe, dlaczego do tego faktu dopuścili i co zamierzają z tym fantem zrobić?

Redakcję odwiedził Edward Kalkis, absolwent AWF-u, instruktor zapasów w stylu wolnym, umieszczony przez władze sportowe w Grójcu. Skarzył się, że pozostawiono go prawie samego. Od chwili rozpoczęcia treningów, czyli od miesiąca, nikt nie spytał go, co robi i czy nie potrzebuje pomocy, a wiadomo, że zapasy są nową dyscypliną w Grójcu. Zebrał sześćdziesięciu chłopów chętnych do zapasów, tylko że trenować nie bardzo ma gdzie. Prezesa i sekretarza grajewskiej „Warmii” określił jako entuzjastę sportu, i stwierdził, że to go podtrzymuje na duchu. Ale sam entuzjazm nie wystarczy, bo gdy minie on trenowany przez niego chłopcom, to cała idea spali na panewce. Jeśli ci przedtem się nie pozabiją, bowiem przydzielona im do treningów sala ma kształt kieszki o szerokości trochę ponad trzech metrów, natomiast mata zapasnicza ma wymiary dziesięć na dziesięć metrów. Aby zorganizować tam występ publiczny, należałoby kibiców umieścić w hamakach pod sufitem. W związku z tym przyszłość grajewskich zapasów w stylu wolnym widzę ciemno, podobnie jak kolneńskiego boks, gimnastyki, luznictwa i biathlonu.

WYMIATA CZ



21.20. Puchar Europy w piłce nożnej.
22.25. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

10.00. „Słoń” — węgierski film fabu-
larny.
11.00. Camerata — magazyn muzyczny.
11.25. Sprawy młodych: „We dwoje” —
film TVP.
12.30. Dziennik Telewizyjny.
17.25. Program morski.
17.55. Sprawy młodych: „We dwoje” —
film TVP.
19.00. Piosenki tygodnia.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Słoń” — węgierski film fabu-
larny.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Klub Filmowy: „Gervaise” —
francuski film fabularny.

PROGRAM II

16.50. „Uniech spod parasola” — program rozrywkowy.
17.30. Telekino sprzed lat: „Wcna domowa” — „Dzień Matki”.
18.05. „Pompeja” — film dokumentalny.
19.00. Piosenki tygodnia.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Telewizyjny music-hall.
21.20. Wieczór ze „Szpakami”.
22.05. „Mój Londyn” (IV) — film obyczajowy.

Niedziela 28 września 1980 r.

PROGRAM I

6.00. TTR — uprawa roślin, semestr III.
6.30. TTR — hodowla zwierząt, semestr III.
7.00. TTR, RTŚS — „Nasze spotkania”
7.45. Nowocześnieść w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytura dla rolników.
8.20. Telewizjada.
6.00. Telefanek; m.in. „Niedzwiedź pana Adamsa” — film przygodowy.
10.20. Antena.
10.50. „Zapiskane kamera”.
11.10. „Pikne głosy” — Carlo Zardo, bas, solista mediolanjskiej La Scall.
11.50. Dziennik Telewizyjny.
12.05. Rolnicze rozmowy.
12.35. Z serialu „Przygody Sindbada” — „Przygoda na wyspie koci słonowej”.
13.00—23.00. Tylko w Niedziele.

PROGRAM II

10.25. „Na rakietowym poligonie” – program wojskowy.
10.50. Przebieg tygodnia.
12.20. „Z biegiem lat, z biegiem dni” (IV) – serial Andrzeja Wajdy.
13.20. „Tuzin” – teleturniej.
14.10. Popołudnie fauny i flory.
14.55. „W poszukiwaniu Atlantydy” – komedia filmowa.
16.15. Sportowa niedziela.
17.40. Teatr Telewizji na Świecie – Zofia Nakowska: „Dom Kobiet”.
19.05. „Odwiedziny” – film Radosław

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.15. Z ser

rodność".

21.15. W Starym Kinie.

22.15. Warszawska Jesień 1980 — koncert finałowy.

Poniedziałek 29 września 1980

PROGRAM I

13.30. TTR, RTSS — fizyka, semestr I

14.00. TTR, RTSS — chemia, semestr I

15.25. NURT — pedagogika.

16.15. Dziennik Telewizyjny.

16.30. Zwierzyńcy.

16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”

17.20. Poradnia zdrowego człowieka.

17.45. „Polskie drogi” odc. V — „Lekcje geografii”.

18.40. Radzimy rolnikom.

18.50. Dobranoc.

19.00. Echo stadionów.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Teatr Telewizji na Świdie — Zofia Nałkowska: „Dom kobiet”.

21.40. Publicystyka międzynarodowa.

22.10. Siedząco zostało wznowione.

22.40. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM I

16.00. „Polskie drogi”, odc. V — „Lek-
cja geografii”.
10.55. Poradnia zdrowego człowieka.
11.20. Film fabularny.
17.00. Dzień wietnamski w Telewizji
Polskiej.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Dzień wietnamski w Telewizji
Polskiej.

Wtorek 30 września 1980

PROGRAM 1

- 6.00. TTR, RTSS — fizyka, semestr I.
- 6.30. TTR, RTSS — chemia, semestr I.
- 9.00. Język polski, kl. V-VI: Marcin Koponicki — Józik Srokacz.
- 9.55. Język polski, kl. II lice. Wiliama Szekspira — „Hamlet”.
- 12.50. Rodzina współczesna, kl. I-III: „Miejsce w życiu”.
- 13.30. TTR, RTSS — język polski, semestr III.
- 14.00. TTR, RTSS — fizyka, semestr III.
- 16.15. Dziennik Telewizyjny.
- 16.30. Telewizyjny Klub Seniora.
- 16.55. Studio Telewizji Młodych.
- 17.45. Dom i my.
- 18.05. „Skojarzenia” — teleturniej.
- 18.25. „Królik Bugs przedstawia”.
- 18.50. Dobranoc.
- 19.00. Skarbiec — magazyn historyczny.
- 19.30. Dziennik Telewizyjny.
- 20.10. Film fabularny.
- 21.15. Lekarz radzi.
- 21.25. Program publicystyczny.
- 22.05. Śpiewa Mieczysław Świąciecki.
- 22.35. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM

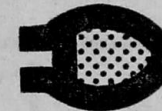
10.00. Skojarzenia — teleturniej.
10.20. Film fabularny.
11.20. Lekarz radzi.
11.30. Skarbiec
12.00. Dziennik Telewizyjny.
16.50. „Dawid Copperfield”. odc.
filmu fabularnego TV angielskiej.
17.40. Program ekonomiczny.
18.10. „Mój koncert”.
19.00. Piosenki tygodnia.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Wtorek Melomana — recital B
bary Strzeleckiej.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Filmoteca Narodowa — fil
Andrzeja Munka: „Eroika”.
22.45. Wieczorne rozmowy.



Łomża, kino „Październik”: 25–26 IX – „Dziedzictwo”, prod. ang. (od lat 18); 27–28 IX – „Szantaz”, prod. ang. (od lat 18); 30 IX – „Miłość Adeli E” prod. franc. (od lat 15).
Ciechanówec, kino „Meteor”: 25–26 IX – „Konwół”, prod. USA (od lat 15); 27–28 IX – „Bezdroża”, prod. rum. (od lat 15); 30 IX – 1 X – „Brawurowe porwanie”, prod. USA (od lat 18).
Grajewo, kino „Relaks”: 25–26 IX – „Porwany przez Indian”, prod. NRD (od lat 12); 27–28 IX – „Corleone”, prod. wł. (od lat 18); 29–30 IX – „Szacowni nieboszczyki”, prod. wł. (od lat 18); 1–2 X – „Spotkanie”, prod. ang. (od lat 15).
Jedwabne, kino „Oaza”: 25 IX – „Racja stanu”, prod. franc. (od lat 15); 27–28 IX – „Umarli rzucają cień”, prod. pol. (od lat 15).

**Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzy-
we Koło 1, czynne codziennie (z wyjąt-
kiem poniedziałków i dni poświęce-
nych): we wtorki i czwartki w godz.
11.00—18.00, w środy, piątki i soboty w
godz. 10.00—15.00, w niedziele w godz.
11.00—15.00. Wystawy (od 28 IX): „Rzeźba
i tkanina Kurpiuskiej Puszczy Zielo-
nej” — ekspozycja etnograficzna ze
zbiorów Muzeum Okręgowego w Ostro-
łęce i własnych; „Bursztyn dorze-
Narwi środkowej” — wystawa prezen-
tująca wydobywanie i obróbkę oraz wy-
roby z bursztynu.**

Park Etnograficzny Północno-Wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie — Oddział Muzeum Okręgowego, czynny codziennie (z wyjątkiem



Galeria Jednej Fotografii, ul. Marian Buczka 17 (witryna kwiaciarni „Mimoza”): Janusz Wądołowski — „Dziadek”.



Wojewódzki Dom Kultury w Łomży
„Ja i mój partner” — międzyzakładowy
turniej wiedzy o zakładzie pracy, 26 IX
godz. 18.00.

koncert w Grajewie (sala Państwowej Szkoły Muzycznej I Stopnia) 25 IX, godz. 19.00.

poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00—16.00. **Wystawy:** 1) Wnętrza chat, kuznów, olejarni z wyposażeniem, loba tkacki-artystyki ludowej Anny Kordeckiej, śpiłkarek z wystawa obrazująca chatę przemiał / przezwyciężanie zbroj, stół dółka ze starym, drewnianym kłosem / nierzadkami białymi. 2) W Dworcu z Brzożek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu”. 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik” — życie i działalność”.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00–18.00, w niedzielę i święta w godz. 11.00–18.00. Wstawa state! 1) „Dzieje rolnictwa” (techniki uprawy, pastwiska, hodowla, transport, wiejski mechanizacja rolnictwa, przemysł, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wewnątrz. **Wystawa czasowa:** „Len – roślina przemysłowa” (tradycyjna obróbka lnu, wyroby lniane, len jako surowiec).

Podstawowa nr 3), czynna codziennie - oprócz niedziel i dni świątecznych - w godz. 8.00-18.00, w soboty w godz. 8.00-15.00: „Wystawa reprodukcji malarstwa obcego i polskiego przełomu XIX i XX wieku” (do 30 IX).

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątacyjnych — w godz. 12.00—18.00, w soboty niedziele w godz. 13.00—16.00): „Polski orły” — wystawa tkanin artystyczne Elżbiety Piwowarczyk.

16.00 i 18.00. Dyryguje Henryk Szwed
Solista: Maria Korecka — fortepian. W
programie — utwory Ludwika van Beetho-
vena: Uwertura „Egmont”, I Symfonia
C-dur, IV Koncert fortepianowy G-
dur.

koncert w Łomży (sala Państwowej Szkoły Muzycznej) 26 IX, godz. 14.00.
19.00. Dyryguje Henryk Orłowski. Soli-
sta: Krzysztof Błezień — skrzypce.
programie — Wolfgang Amadeusz Mo-
zart: uwertura do opery „Dyryktor Te-
tru” i Koncert G-dur nr 3 op. 206, n-
skrzypce i orkiestrę: Joseph Haydn
Symfonia D-dur nr 101 „Zegarowa”.

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Gie
czyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczn
999 — Pogotowie Ratunkowe
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. M. Skł
dowskiej-Curie 1, czynne całą dobę.

SZCZĘŚLIWE kojarzy małże
stwa Biuro Matrymonialne Mazu
Olsztyn 2 skr. 336.

Lk 3646-0

OGŁOSZENIA DROBNE

Pewex

**PRZEDSIĘBIORSTWO
EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO „Pewex”
z a w i a d a m i a**

że do dnia 30.IX.1980 r. trwać będzie
sezonowa wyprzedaż **peruk damskich**
pochodzenia japońskiego

PERUKI — w różnych fasonach i kolorach
wykonane są z włókna sztucznego na przewiewnej siatce.

ZAPRASZAMY DO NASZYCH SKLEPÓW.

LK 3069-00

tygodnik społeczny, pismo **PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ:** Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Marek Rusiński — sekretarz redakcji, Lech Kolowski, Danuta Sobolewska, Aleksander Wróblewski, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lőrinczy, Redaktor techniczny — Zbigniew Henzel, Wiesław Stupała, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Broniarski, Jerzy Bielawski, Irenej Blernacki, Jęży Brodziuk, Marek Jaworski, Henryk Kin, Miemos Krzywogorski, Jan Kulka, Piotr Kurekta — Elzbieta Kusiba, Franciszek Platkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Śledziak, Stanisław Swierad, Andrzej Tchórzewski, Mieczysław Wodnicki, KONCEPCJA GRAFICZNA: — Marek Goebel, ADRES redakcyjny: ul. Kościuszki 60-68, 40-039 Katowice, telefon 40-34 7415, 455240, BSW Prasa — Książka—Ruch*, Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Biłystoku DRUK: Białoostockie Zakłady Graficzne

KONTAKTY

MINI-KABARET
PIEKIEŁKO
PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY
**DIABELSKIE
OBRACHUNKI**

Tym razem siły nieczyste umiejscowiły czterech diabłów, ob. ob. Supraskiego, Narwiańskiego, Bużańskiego i Biebrzańskiego, na betonowym filarze zrujnowanego mostu na Narwi, w pobliżu Łomży. Tamże, niestety, rozgrywa się akcja.

BUZAŃSKI: Jakim cudem żeśmy się tutaj znaleźli?!

BIEBRZAŃSKI: Wicher świszcze, deszcz zaczyna, perspektywa przymgłona, ale nas widać jak na dłoni.

NARWIAŃSKI: Faktycznie. Byle kto może kamieniem sięgnąć. Mówcie coś, kolego Supraski, przyznajcie się do jakiejś winy.

SUPRAŃSKI: Nu, tego... owego... hm... Ja by chciał najsmprzód wysłuchać głosów, jak to się mówi, diabelskiej opinii.

BUZAŃSKI: Nie żadne tego owego. Może zaczniecie wreszcie operować konkretami?

SUPRAŃSKI: Zawsze ja chciałem, aczkolwiek blendy mnie oczy przesłoniły czegoś, a i wy wszystkie nie bez winy, chociaż niewinne...

NARWIAŃSKI: Niech mnie diabli wezmą, że nie z tego nie rozumiem. Mówcie do rzeczy, kolego Supraski.

SUPRAŃSKI: Nu, choćby na ten przykład i sam wy, kuliego Narwiański. Diabeł z was odpowiadał, a bywa, że głupote palniecie jako.

NARWIAŃSKI: Jaka głupotę, co to za aluzje?

SUPRAŃSKI: Nu żadne aluzje, ale żaluzje, coście je posrebrzali we wsojej willej. Żeb za dziesięć kałków sobie wille wybudować drzewianno, to i sam diabeł nie potrafi. Wy myśleli, że opinia piekielna oczów nie ma? Czego wy do tego Śniadowa tak cieszno jeździli? Dobry domek kupili jako wybrakowany.

NARWIAŃSKI (drze się histerycznie): O cie cholera, kurdebelans, a wy sami, to niby co? Co i rusz to karetę na nowsze wymieniacie, kolego, a na każdej ze sto patyków czystego zysku, znaczycie się, brudnego, chciałem powiedzieć.

BUZAŃSKI: Spokój, do diabła, bo zaraz się wszystko zawali. Nie widzicie, na czym siedzimy i jak się to trzęsie? Woda od dołu podmywa, atmosfer od góry leje, a wy, zamiast ramie w ramie, bądź kopyto w kopyto, to rogami w rogi! Gdzie wasz instynkt samozachowawczy?

NARWIAŃSKI (nie zmieniając tonu): A wy, Bużański, też nie lepsi. Po co wam te działki za pół darmo? Jedna na bagnach, druga w krzaczach i mamorach, a trzecia, to na wiedznię zapisana. Po co wam jeszcze wiedznię?

BIEBRZAŃSKI: Miotle odrzutowa jej jeszcze sprawił z drugiego obszaru piekielnego, a szare diabły i zwykłe wiedznię się złoścą. Nie mogła ona latać na zwykłej miotle śmigłowej?!

SUPRAŃSKI: Kuliedzy! Trzeba zrobić porzondek, tam gdzie trzeba, ale u nas, jak się mnie zdaje, nie trzeba. Wszystko my porzondne, choć niekötörn i świnią. To nie nie szkodzi, a jeszcze i lepiej nawet...

BUZAŃSKI (z zadumą): Ciekawa rzecz. Im lepiej, tym gorzej i odwrotnie...

NARWIAŃSKI: Stuszenie. Im bardziej, tym bardziej...

BUZAŃSKI: To już było.

BIEBRZAŃSKI: Na dobrą sprawę, wszystko już kiedyś było.

SUPRAŃSKI: Ale co bendzie?! Kuliedzy, u mnie myśl jezd taka: może by zrobić haka?

NARWIAŃSKI: A za czyje pieniądze?

SUPRAŃSKI: Nu, tego owego, jakby, tu: tego śmego owego... (reszta słów ginie w poświście wiatru, buigocie przelewającej się w dole wody, w lamencie diabelskich dusz).

WIESŁAW TOMASZEWSKI



Franz von Stuck — „Meduza”.

Fot. Włodzimierz Cieslowski

MAGNETYZM I PIENIADZE

Szwajcaria stała się prawdziwym królestwem parapsychologii, krajem cudownych interesów niemalej rzęsz magnetizerów, hipnotyzerów, zielarzy, homeopatów, specjalistów od akupunktury i wyczytywania diagnozy z tęczy oka. Jednym z pierwszych autorytetów w tej dziedzinie był, zmarły przed kilkoma miesiącami, Albert Paliwoda, właściciel Rolls-Royce'a i pokaźnego konta w banku szwajcarskim. Paliwoda zyskał sławę, odzwyczajając w swoim Instytucie Psychologii i Metafizyki od palenia papierosów, picia alkoholu, także od łakomstwa, kleptomani, lęku przed lataniem, skłonności do hazardu i od obgryzania paznokci. Były komiwojażer odzwyczajał dziennie 50 osób, każdą za 90 franków.

Od trzech lat w Zurychu robi karierę niejaka Mara, specjalizująca się w magnetyzmie. Mara leczy przekazując pacjentom swoją własną siłę i energię, za 100 franków od osoby. Nadprzyrodzone właściwości odkryła znacznie wcześniej, jeszcze podczas II wojny światowej, kiedy to, pracując w polu, dokładnie ustydzała mowę Hitlera, nadana trzy dni później.

Specjalista od hipnozy jest prawnik z wykształcenia, dr Arthur Wey,

w którego gabinecie klienci nabierają chęci do życia i stają się znacznie bardziej zadowoleni z siebie i ze świata. Natomiast Ivo Barres uchodzi wśród parapsychologów za specjalistę od tricków technicznych, bo chętnie posługuje się aparaturą zbliżoną do wyposażenia dyskoteki.

Do ciekawych przedstawicieli świata parapsychologii należy były piłkarz Karl EMMENGER, który wypowiedział wojnę diabłu. Z przeciwnikiem zmierzył się Emmenger oko w oko i z jego relacji wiemy, że diabeł ma ogon, rogi i koźle kopyta, a uderzony przez niezłomnego Emmengera „skurczył się jak balon, z którego ucieka powietrze”. Pogromca diabła, po znacznym kursie parapsychologii, otworzył prywatną praktykę, specjalizując się w leczeniu opętanych. Przepasza również duchy i wypędza upiory. Bierze 50 franków za dwadzieścia minut. Przed dwoma laty miał nieprzyjemną wpadkę, kiedy to kierowana przez niego drużyna piłki nożnej Young Fellows z Zurychu mimo kilku seansów z Emmengerem — spadła do drugiej ligi.

NAGOWSTRĘTY STUDZENIE NIEWIERNEJ ŻONY

Nasi pradiadkowie różnymi sposobami dbali o morale. W pismach włoskiego podróżnika zachował się opis kary, jaką wymierzono niewiernej żonie w XVI w. Rzecz działa się w Kurzelowie nad Pilicą. Niewierna, wyposażona w nóż, wsadzono do dużego wiadra, przywiązano do żurawia nad wodą. Delikwentka miała do wyboru, albo wisić w wiadrze narażona na sztyderstwa gawiedzi, albo przeciąć sznur i wziąć kąpiel. Kara odbywała się w marcu, chodźło zatem o studzenie temperamentu.

WYWARY WSPÓŁCZESNE

„Panorama Północy”: „Dla sprawiedliwości trzeba dodać, że w województwie łomżyńskim ktusują nie tylko Kurpie, ale pozostali jego mieszkańcy.” W tej sytuacji do dziwów natury należy zaliczyć fakt, że w województwie w ogóle coś się jeszcze rusza.

Studenti medycyny przebywający na wakacyjnych praktykach w gminie Kolno twierdzą, że w okolicy wsi Koziół za jedyną przyczynę wszawicy uważa się przeterminowany szampon marki „Jajeczny”.

„Będzie jak nowa” — pod takim tytułem „Gazeta Współczesna” informuje o remoncie gotyckiej katedry w Łomży. Są sprzeciwy — niektórzy woleliby starą katedrę.

M. A. Styks, autor przeglądu prasy w „Życiu Literackim” po wzięciu do ręki pierwszego numeru „Kontaktów”, pokręcił głową.

POCZET DIABŁÓW POLSKICH

HEJDASZ — nie należał do najmądrzejszych i miał zgola niediabelskie zwyczaje. Np. przystrajał łeb wieńcami z polnych kwiatów i wydawał się być niesłychanie dumny z puszystego ogona. W Piekło powierzono mu funkcję opiekuna żarłoków i pijaków, którym gotował ołów, a że był nie tylko dziwny, ale także leniwy i giupkowaty, dał się pokutującemu birbantom namówić na sprowadzenie do Piekła stu beczek gorzałki i tysiąca świń. Wieprzowinę upieczono, gorzałkę wypito, a sam Hejdasz napychał palcem kielbasy i tańczył z grubą grzesznica. Tyle szynki i schabu nie widziano w Piekło od dawna i byłby ten piekielny bankiet trwał nie wiedzieć jak długo, gdyby hulający coraz głośniejszą potępięcy nie obudzili samego Lucyfera.

Rozgniewany Książę Ciemności wypędził Hejdasa na Ziemię, gdzie diabeł o najbardziej puszystym ogonie miał służyć wojewodzie Borucie. Nawalił oczywiście przy pierwszej robocie, a ostatecznie naraził się władzy, kiedy w czas Wielkanocy, zamiast, jak to miał przykazane, porozbijać kościelne dzwony, walił w nie rogatym łbem, robiąc za dwóch co najmniej dzwonników.

Przed karą, jaka niechybnie czekała go z rąk wojewody, uciekł Hejdasz w okolice Łomży (źródła nie podają gdzie mianowicie). Wiadomo natomiast, że Hejdasz, jak przystało na polskiego diabła, wiedzie żywot całkiem nie diabelski — pod pierzyną pewnej bogatej wdowy.

WIERZENIA

Wśród ludowych wierzeń, baśni i bajan zachował się przepis na diabła pożytecznego. Do takiego diabła w domu można dojść własnym staraniem, trzeba tylko dopilnować koguta, który znosi jajko raz jeden, w piątym lub siódmym roku swej koguciej egzystencji. Jajko koguta należy stale nosić pod lewą pachą tak długo, aż wykluje się z niego mały kotek. To będzie diabeł pożyteczny, zwany inkłuzem. Do jego zwyczajów należy przynoszenie do domu pieniędzy, obwarzanków, wódki itp.

Jajo koguta — to jest to!

